Numer zawiera 8 stron
OPŁATA POCZT. UISZCZONA RYCZAŁTEM.

BILETY ULGOWE DO WSZYSTKICH TEATRÓW
wydaje każdemu biuro „MUZYKI i SZTUKI" Marszałkowska 118, tel. 341-40

Cena n-ru 15 gr.
W CAŁYM KRAJU

X muza
tygodnik ilustrowany

ROK I WARSZAWA, DNIA 7 LISTOPADA 1937 R. Nr. 21

FILM • TEATR • MUZYKA • TANIEC • RADIO • MALARSTWO • FOTOGRAFIA • SPORT • TURYSTYKA • MODA • KOSMETYKA • ROZRYWKI

LEOPOLD BRODZIŃSKI

KULISY ZYGMUNTOWSKIEJ TRYLOGII

(Z cyklu „Ćwierćwiecze pierwszej sceny polskiej")

Trzeba było kilku lat starań i zabiegów, aby uzyskać pozwolenie Petersburga na wystawienie w Warszawie pierwszej części rydlowskiej trylogii, a mianowicie „Królewskiego jedynaka". Dzisiaj utwór ten jest dla nas dość naiwną opowieścią sceniczną, pisaną ładnym wierszem. — Wówczas jednak inscenizacja „Królewskiego jedynaka" stanowiła fakt wielkiej doniosłości, sztuka ta bowiem, w formie efektownego malowidła widowiskowego, ukazała publiczności złoty wiek naszych dziejów.

Gdy kurtyna podnosiła się, odsłaniając krużganki i ogrody Wawelu, gdy brzmiał hejnał z wieży Mariackiej, widzów ogarniało wielkie wzruszenie. Sukces „Królewskiego jedynaka" był przesądzony. Wspaniała maska i ton Kotarbińskiego (Zygmunt Stary), oraz imponująca naprawdę królewska postać Ludowej (Bona) — nie powtórzą się już chyba w dziejach polskiej sceny. Tak samo, jak czarujący duet dwojga młodych aktorów — Osterwy (Zygmunt August) i Szyllinżanki (Lizbetta Rakuska).

Wspaniałą groteskę dawał Solski jako biskup Gamrat, Roland był niezapomnianym Stańczykiem, a Larys-Pawińska — prześliczną Aurorą.

„Królewski jedynak" wyreżyserowany przez Ludwika Wostrowskiego (nieodżałowany ten aktor i reżyser był już wtedy ciężko chory na gruźlicę) stał się na długie lata opatrznościową sztuką teatru Rozmaitości. Z Szyllinżanką dublowała Aniela Łomska; po Solskim objął rolę Wojdołłowicz. W późniejszych latach grali (obok Ludowej, Kotarbińskiego i Szyllinżanki): Karol Benda — królewicza, Mirska - Aurorę i Zelwerowicz — biskupa. Dopiero nagła śmierć Ludowej przerwała żywot „Królewskiego jedynaka", skreślając go z „żelaznego" repertuaru pierwszej sceny polskiej.

Po „Królewskim jedynaku" wystawiano dalszy ciąg trylogii — „Złote więzy". Z przedstawieniem tym łączy się pewien nader ciekawy fakt... Cenzura nie pozwoliła na użycie podczas sceny koronacji insygniów królewskich, niesiono więc tylko „symboliczne" poduszki, co wywoływało wśród widzów reakcję w formie i sile przez cenzurę na pewno nie przewidzianą.

Przy roli Zygmunta Starego w „Złotych więzach" pozostał nadal Kotarbiński, pięknie odtwarzający scenę śmierci, przy dźwiękach królewskiego dzwonu.

Boną była nadal Ludowa, Zygmuntem Augustem — Osterwa, Szyllinżanka przeistoczyła się z Lizbetty w Barbarę Radziwiłłównę, czarując urodą i wzruszając peotycko zagraną sceną śmierci.

Wbrew woli reżysera Ludwika Wostrowskiego, dyrektor Solski nie powierzył natomiast tym razem Rolandowi roli Stańczyka. Był to krok fałszywy, a co gorsze — wynikał z osobistych animozji.

Rolę Barbary zagrała raz jeden osławiona w tym czasie Zenobia Janczewska. Zacne i poczciwe beztalencie, którego ambicje teatralne, wyładowujące się raz na rok, ku zgrozie przypadkowych widzów, uratowały byt polskich teatrów rządowych. Janczewska, dzięki stosunkom rodzinnym miała wielkie poparcie w Petersburgu u samego ministra spraw wewnętrznych. Dla ambicji „Zenobci" minister (plotka głosiła, że dygnitarz ten był ojcem aktorki), potrafił zwalczyć, postanowiony już plan likwidacji polskich rządowych teatrów w Warszawie, na miejsce których miały powstać oficjalne teatry rosyjskie. Kiedy Janczewska grała wtedy, w historyczny dla siebie wieczór Barbarę Radziwiłłównę, podczas długiego monologu przedśmiertnego, z galerii rozległa się szczera zachęta zniecierpliwionego widza: „A skonaj, że nareszcie!..." (autentyczne!!!). Partnerujący tej „historycznej" Barbarze — Osterwa, z trudem opanowywał paroksyzm śmiechu. Zaznaczyć trzeba, że Janczewska była stosunkowo mało wymagająca. Raz, najwyżej dwa do roku przychodziła z Petersburga na ręce prezesa teatrów Hulewicza depesza: „Pust Janczewskaja sygrajet rol Jewdochy" („Niech Janczewska zagra rolę Jewdochy"). I Zenobia grała przed pustą widownią Jewdochę. Nauczyła się też roli bohaterki dramatu Wiktora Sardou „Ojczyzna" (granego na jubileusz Kotarbińskiego z Heleną Marcello, dublowaną przez Marię Mirską). Do tego występu jednak nie doszło.

Korzystając z miernego powodzenia tej sztuki, ówczesny główny reżyser Józef Śliwicki, zdjął dyplomatycznie „Ojczyznę" z afisza, pragnąc tylko uniknąć kreacji Janczewskiej, która już na próbach sprawiła partnerom dużo uciechy. Prasa miała również ustalone zdanie co do wartości artystycznych Janczewskiej. Wacław Grubiński napisał np. kiedyś w „Kurierze Porannym" — „a jednak ta Jewdocha miała jeden moment bezkonkurencyjny: scenę „zamiatania podłogi". Janczewska, niestety, wzięła to całkiem na serio i potym w latach powojennych, grając u Siemaszkowej w Bydgoszczy (Siemaszkowa nie znając stosunków warszawskich, pracowała bowiem za kordonem, zaangażowała Janczewską, na podstawie „reprezentacyjnych" afiszów teatru Rozmaitości), pokazywała recenzję Grubińskiego, chwaląc się tą sceną zamiatania... Często inne niespodzianki spotykały widzów. Na afiszu widniało w jednej z małych rólek nieraz nazwisko Solskiego, tak bardzo wtedy dla Warszawy atrakcyjne. Solski rzadko jednak ukazywał się w zapowiadanej rólce, — (zastępował go przeważnie Edmunt Weychert). Chociaż publiczność liczyła skwapliwie na „feu" wielkiego aktora.

„Zemsta" i dwie pierwsze części trylogii Zygmuntowskiej były kulminacyjnymi wydarzeniami krótkiego stosunkowo okresu dyrektorstwa Ludwika Solskiego. Wielki aktor nie zdobył popularności w świecie teatralnym. Dla plejady zaś ówczesnych matadorów pierwszej sceny (Leszczyński, Rapacki, Kotarbiński, Śliwicki, Frenkiel, Roland, Knake-Zawadzki) nie był dostatecznym autorytetem. Prasa bardzo źle przyjęła rolę Solskiego „a la Fregoli" w komedii „Bajka o wilku" Molnara, a jeszcze gorzej — rolę Wielkiego Wezyra w „Końcu Mesjasza" Żóławskiego. Wybuch wojny zaskoczył Solskiego na urlopie, z którego wrócić już nie zdążył. Zresztą wojna postawiła teatry rządowe w zupełnie nowej sytuacji. Rozpoczęła się nowa faza — jednoroczny okres pierwszej sceny polskiej, wyzwolonej pozornie z pęt cenzury rosyjskiej.

ANATOL STERN

NIE CHCEMY KATARYNIARZY!..

Czy wiecie Państwo, jaki, z pośród dotychczas wyprodukowanych filmów polskich, był najlepszy?...

Ależ, oczywiście, że „ostatni"!...

Nie, nie myślę w tej chwili o... Zresztą, nomina sunt odiosa. Myślę tylko o tych tępogłowcach, którzy w ten właśnie, przeraźliwie nieinteligentny sposób objawiają swoją inteligencję filmową, że każdy najnowszy film okrzykują, jako najlepszy. Są to niekiedy ludzie skądinąd zupełnie rozsądni i wrażliwi, z sensem potrafiący mówić o literaturze i o teatrze. Ale gdy mowa o filmie, ludzie ci nagle tracą sens. Nie są w stanie objąć myślą tego poważnego dorobku filmowego, jaki mamy już za sobą, — i przekreślając jednym słowem całą przeszłość polskiego filmu, wszystkie wysiłki na tym polu, — stwierdzają, że jedynym właściwie prawdziwie dobrym filmem polskim jest — „ostatni"!...

Czy domyślają się ci panowie — niektórzy z nich rekrutują się przecież z pośród krytyków filmowych — jaką szkodę wyrządzają naszej kulturze filmowej?!...

Przeżyliśmy już wielką ilość tych „najlepszych" ostatnich filmów. „Młody las", który był „najlepszy", i „Pana Twardowskiego", który był najlepszy, i „Barbarę Radziwiłłównę", która była „najlepsza", i „Znachora", który był również „najlepszy"... I słuchając zachwytów z okazji tych wszystkich filmów, nie wiedziałem, czy cieszyć się, czy smucić. Wiedziałem bowiem, że filmy te będą miały w sercach chwalących żywot motyli, — a zachwyty nad nimi będą słomianym ogniem, gdyż w ciągu paru miesięcy ci sami ludzie oświadczą, że wszystko dotąd było niczym wobec ostatniego — „najlepszego" — filmu...

Poraz setny zrzędu powtarzam. Najgorszym złem, degradującym film polski i utrudniającym ciężką pracę jego twórców, jest przede wszystkim bezmózga, tępa, krecia robota nieodpowiedzialnych niektórych krytyków, którzy w napaściach na film polski starają się znaleźć ratunek przed własną twórczą bezpłodnością. Katarynka tych panów, zastępująca im mózg, nakręcona, jest na jedną melodię: „film polski jest zły, bo jest... polski". I ta melodia bezczelna i natrętna rozbrzmiewa wokół nas od lat. Ci sami ludzie, którzy rozpływają się mętną kałużą zachwytów nad niejednym kiczem zagranicznym, — tu w kraju przybierają pozy mentorów i drapują się w togi katonów. Ale dość wsłuchać się w pustą frazeologię ich obiawień, aby poznać natychmiast: to kataryniarze! Potrafią oni kręcić korbką na temat ubóstwa tematyki w polskim filmie, dawać za przykład naszym reżyserom — siebie samych i t. p., — ale nie są w stanie ani trochę zapłodnić film polski prawdziwie twórczą myślą. Odczułem to już nieraz.

Parę przykładów z dziedziny, która jest mi najbliższa, bo z dziedziny scenarjopisarskiej.

Przerabiając Hertzowski „Młody las", z natury rzeczy musiałem odstąpić znacznie od oryginału. Odpadł np. zupełnie akt pierwszy sztuki. Zostawiwszy jej trzy kapitalne wielkie sceny, dobudowałem nieistniejącą zupełnie w sztuce akcję miłosną i powiązałem z nią również nieistniejący w sztuce Hertza dramat wewnętrznego przeradzania się ucznia, zniepravionego przez rosyjskich wychowawców, w patrjotę. Czy śród entuzjazmujących się wówczas „najlepszym" filmem polskim „kataryniarzy", był chociaż jeden, który by to podniósł i ocenił?... Nie było ani jednego!...

Dalej:

Kiedy opracowywałem legendę o „Panu Twardowskim" drżałem, że zarzucą Gąsiorowskiemu i mnie, jako autorom scenariusza, pewną zbytnią odwagę. Okazało się, że lękałem się tego niepotrzebnie. Nie znano dobrze legend o Twardowskim, — nie uważano za stosowne ich przestudjować. I charakterystyczny szczegół: w kilka miesięcy potym, gdy Nowaczyński kazał swemu Kopernikowi w „Cezarze i człowieku" wskazywać Lukrecji Borgii na niebo szablą, — sprawozdawca jednego z pism zachwycił się tym gestem, — że niby szlachcic polski szablą sięga nieba, — tłumacząc gwiazdy. Zapomniał tylko... że Kopernik był... mieszczaninem, nie szlachcicem! Ale gdy w „Panu Twardowskim", kazałem temu najbajeczniejszemu szlachcicowi, jakiego zna legenda Polski, szablą, niby batutą, dać znak orkiestrze, która zaczarowała gości weselnych, — to tego gestu nie dostrzegł żaden z kataryniarzy!...

I tak było z wieloma scenarjuszami i z reżyserją.

Jaka jest rada na to niszczenie polskiego filmu?...

Sądzę, że jest... I to nader prosta.

Mamy przecież szereg poważnych krytyków filmowych. Powinni oni w obronie naszego filmowego stanu posiadania ograniczyć szkodnictwo wspomnianych wyżej osobników przez piętnowanie każdego ich wybryku. Nie powinno się tolerować fałszowania historii filmu polskiego. Powinno się w pismach fachowych stworzyć działy stałej kontroli tego rodzaju publicystycznej ignorancji i demagogji.

I wówczas zniknął powoli kataryniarze publicystyki filmowej z ich obrzydzającą nam życie melodią!... I wówczas przestanie istnieć tylko jeden dobry film polski — „ostatni".



ISA MIRANDA i FERNAND GRAVET
bohaterowie filmu „Przedziwne kłamstwo Niny Pietrowny"
Wyświetla kino „Europa" w Warszawie
Fot „Parlofilm"

WYJAZD RYSZARDA ORDYŃSKIEGO Z POLSKI

Dn. 4 b. m. opuścił Warszawę udając się do Paryża ceniony reżyser — Prezes Rady Naczelnej Przemysłu Filmowego w Polsce Ryszard Ordyński, którego brak da się odczuć dotkliwie w naszym świecie filmowym.

O FILMACH TYGODNIA

„ICH STU I ONA JEDNA"
Kino „Atlantic"

Komedia o głębszym znaczeniu, poświęcona muzykom poszukującym pracy, ofiarom kryzysu. Obraz ten posiada jedną przede wszystkim zaletę: doskonale pomyślany, interesuje od początku do końca, dzięki czemu należy do tych niewielu „komedii muzycznych", które zasługują na uznanie. Tym bardziej, że obfituje on w muzykę — Liszta, Czajkowskiego, Chopina, Verdiego i Mozarta, utwory których wykonywa najlepszy zespół koncertowy w Stanach Zjednoczonych pod batutą jednego z czterech największych dyrygentów świata — Leopolda Stokowskiego. Wielki muzyk występuje również w roli drugiej — artysty filmowego, dając szereg pierwszorzędnych „momentów", gdy za pomocą powściągliwej mimiki wyraża gniew lub oburzenie (scena podczas próby w sali koncertowej oraz w hallu pałacu „okupowanym" przez muzyków).

Film posiada dużo humoru, zręczne dialogi, dobrą fotografię i szereg ogranych lecz dobrze zastosowanych tricków, wzmacniających tempo, które jest doskonałe w tej komedii. Nic nie zatrzymuje uwagi widza dłużej, niżby należało, nawet śpiew Deanny Durbin, której słowiczego głosu słuchałoby się z rozkoszą przez cały czas. Świetna ta artystka (pamiętna przede wszystkim z „Penny") i tym razem stwarza fenomenalną kreację, rozśmiesza, rozrzewnia, a czyni to z wielkim temperamentem i wdziękiem. Adolphe Menjou (w roli bezrobotnego ojca) jest porywająco szczery. Mischa Auer doskonale bawi, eksploatując w szeregu scen duży materiał komiczny. Alice Brady i Eugene Pallette — również doskonali.

Techniczne wykonanie filmu na poziomie całości.

„CZAR CYGANERII"
Kino „Casino"

Marta Eggerth jest przemiła i ślicznie śpiewa. Wystarczyłaby sama jej obecność, aby film stał się interesujący. A cóż dopiero gdy Eggerth śpiewa wespół z Janem Kiepurą (który czaruje metalicznością swego głosu, natomiast jako aktor nastręcza mnóstwo wątpliwości).

„Czar cyganerii" jest pełnym uroku melodramatem, o niezwykle subtelnym ujęciu. Ukazuje on życie cyganerii paryskiej, blaski i cienie miłości, ogrzane uczuciem przyjaźni i poświęcenia.

Akcja może ma za słabe chwilami tempo, za wiele jest w filmie pierwiastku teatralnego, a za mało kinowego, naogół jednak obraz jest zajmujący, a dla miłośników muzyki — stanowi dużą atrakcję.

Konsekwentna budowa filmu nabiera najwyższego natężenia i mocy w ostatnich momentach. Scena, gdy dziewczyna umiera, śpiewając partię Mimi (z „Cyganerii"), a stojący nad nią bezsilny kochanek spokojem i uśmiechem pocieszenia stara się pokryć nieludzki ból wewnętrzny — musi wywołać fale wzruszenia, a nawet i łzy. Widz w chwili tej przeżywa wraz z bohaterami ich tragiczne rozstanie.

„SCYPION AFRYKAŃSKI"
Kino „Colosseum"

Filmy odtwarzające wybitne epoki w sposób monumentalny trafiają się stosunkowo dosyć rzadko. Dlatego każdy z tych filmów witać należy z uznaniem i radością.

Takim właśnie filmem jest włoska produkcja „Scypiona Afrykańskiego". Umiejętnie dobrane postacie historyczne, jak konsula Scypiona, Hannibala, Sofonisby, Velii oraz utrzymanie w stylu całego zespołu, dają dobre pojęcie epoki walk Rzymu z Kartaginą, od wyniku których zależały losy całej ówczesnej Europy.

Z punktu widzenia czysto filmowego, prócz paru dłużyzn i miejsc o nie bardzo wysokim poziomie — kolosalny rozmach reżyserii. Na plan pierwszy wysuwają się sceny batalistyczne, a szczególnie bitwa pod Zamą: wspaniały atak rozjuszonych słoni, podkreślony doskonale dźwiękowo. Falangi żołnierskie idące do ataku, galop konnicy po przez niezwykle „fotogeniczną" równinę i starcie się wojsk — należą do najlepszych fragmentów batalistycznych, jakie ukazały się na ekranie.

Zespół aktorski nie wnosi nic specjalnie ciekawego poza daleko posuniętą poprawność. Jedynie postać Scypiona o wspaniałej budowie, ruchach prostych, rysach surowych i władczych, pomimo swej pewnej brutalności, nie pozbawiona została szlachetnego dostojeństwa. Druga godna podkreślenia kreacja, to Hannibal — twardy żołdak, dla którego jedyną wartością jest siła fizyczna, a jedynym celem ustawiczna walka.

Osobno i obszernie należałoby omówić pracę operatora. Tak bogatych zdjęć, tak jasnych i czystych — nie spotyka się często.

„Scypiona Afrykańskiego" zobaczyć warto, ale przed tym lepiej przeczytać historię wojen rzymsko-kartagińskich.

„KRÓLOWA WIKTORIA"
Kino „Roma"

Wielka miłość królowej angielskiej Wiktorii i jej małżonka Alberta sasko-koburskiego stanowi temat tego pełnego uroku, prześlicznego filmu, jednego z najbardziej wartościowych filmów w ostatnich czasach...

Film odznacza się spokojnym, klasycznym ujęciem, dobrą scenerią, piękną wystawą i trafnym doborem obojga głównych bohaterów (Anna Neagle i Wohlbrück), którzy reprezentują bardzo interesującą „kinową parę".

Życie królewskich kochanków stanowiło niezwykły poemat miłosny. Przejmowało swą głębią. Było niebanalne... Nieszablonowe. Takim też jest i obraz je odtwarzający. Dawno już nie widzieliśmy filmu tak subtelnie wyreżyserowanego. Realizatorem jego jest Wilcox, który, zdradził swą dużą rutynę reżyserską, wydobywając z pospolitych nawet efektów i sytuacji — maksimum ściśle filmowych zalet. Od pierwszej do ostatniej sceny film Wilcoxa nie traci ani przez chwilę stylu, ani przez chwilę nie wpada w banalność, przeciwnie, prowadzi widza poprzez przeżycia swoich bohaterów w jakieś wyższe regiony ducha, wyprowadza miłość czarowną, silniejszą niż śmierć. Wilcox nie sfałszował niczego w imię zakłamanej pruderii — dał życie najprawdziwsze, najbardziej naturalne, najbardziej ludzkie.

Film „Królowa Wiktoria" — to monumentalne dzieło, zrealizowane z wielkim rozmachem. Końcowe zwłaszcza jego sceny należą do najpiękniejszych, jakie oglądaliśmy w obrazach tego typu.

„DYBUK"
(kino „Sfinks")

Świat nadprzyrodzony i świat widzialny, mistyka połączona z realizmem, wielkość przyjaźni i małostkowość materializmu — wszystko to znalazło swe miejsce w inscenizacji filmowej legendy o dybuku.

Nie tu, w maleńkim sprawozdaniu, miejsce na rozstrzygnięcie zagadnień, tłoczących się po obejrzeniu tego wstrząsającego obrazu. Dość powiedzieć, że na ekranie zostały połączone wszystkie fragmenty tego olbrzymiego gmachu, który nosi nazwę „Dybuk", a który w ujęciu scenicznym posiada zawsze pewne luki.

Zrozumiałą jest rzeczą, że ten niesamowity dramat wymagał specjalnego opracowania technicznego, gdyż fenomeny z dziedziny spirytyzmu i okultyzmu odtworzone zostały w tym filmie z dosyć dużą precyzją. Jeśli mimo to nie wzruszają, nie budzą grozy, z jednej strony wina trochę może zbyt realistycznego, zamało wizyjnego potraktowania tematu, z drugiej zaś — nie dociągniętej, moim zdaniem, ilustracji dźwiękowej.

Morewski, odpowiednio obsadzony w roli cadyka, gra doskonale. W otoczeniu jego wyróżnia się postać ducha (Samberg) i ojca (Lipman). Świetni są też: nauczyciel pana młodego (Kac) i stangret Lutek (Bożyk). Należałoby zresztą przepisać cały program, aby oddać sprawiedliwość wszystkim aktorom, biorącym udział w tym filmie. Technika wysoka. W reżyserii szereg niedociągnięć, szczególnie w dekoracjach i kostiumach, wyrównywuje ruch, dynamika i napięcie w poszczególnych scenach. Całość warta bezwzględnie widzenia.

„Dybuk" — to jeden z najgłębszych i najlepiej skonstruowanych polskich obrazów filmowych. To nie przeróbka libretta operowego, ale filmowe odtworzenie autorskiej ułudy, zaklęte objektywem w utrwalone obrazy.

Wiesław Bończa-Tomaszewski

4 WIELKIE FILMY WYTWÓRNI „UNITED ARTISTS"

Po licznych sukcesach kasowych i artystycznych w Warszawie filmu „Narodziny gwiazdy" i „Historia jednej nocy", National Film Corporation wypuści niebawem na polskie ekrany dalsze swoje przeboje:

„WZGARDZONĄ" (Stella Dallas). Produkcja: Sam Goldwyn. Reżyseria: King Vidor. Obsada: Barbara Stanwyck, John Boles i 18-letnia Anne Shirley. Film ten należący do t. zw. „filmów życiowych", przewyższa „Boczną ulicę" i „Zaledwie wczoraj".



Młodziutka utalentowana aktorka Anne Shirley — po ukończeniu filmu p. t. „Wzgardzona" zawarła kontrakt z wytw. „R. K. O." — która czemprędzej wydała ją zamąż aby tym samym położyć kres jej licznym awanturkom miłosnym.

„WIĘŹNIA KRÓLEWSKIEGO" (The prisoner of Zenda). Produkcja: D. O. Selznicka. Reżyseria: John Cromwell. Obsada: Ronald Colman, Madeleine Carroll, Douglas Fairbanks jr., Mary Astor, na czele kilku tysięcy statystów. Część filmu wykonana została na taśmie koloru sepia, co pozwala filmowi na oddanie maximum efektu.

„ULICĘ POTĘPIONYCH" (Dead end). Produkcja: Sam Goldwyn. Reżyseria: William Wyler. Obsada: Sylvia Sidney, Joel McCrea i specjalista od ról gangsterów — Humpercy Boggart. Scenariusz: Lilian Hellamn, autorka „Ich troje". Jest to obraz w rodzaju „Wielkomiejskich ulic".

„WYTWORNY ŚWIAT" („Vogues of 1938"). Film wykonany w barwach naturalnych. Produkcja: Walter Wanger. Reżyseria: Irving Cummings. Obsada: Warner Baxter, Joan Bennett, Mischa Auer, Helen Vinson, oraz „Walter Wanger's Models" — najfotogeniczniejsze dziewczęta Ameryki.



Dwie figurantki z filmu „WYTWORNY ŚWIAT"

List otwarty w sprawie Michała Machwica

Szanowny Panie Redaktorze.

Głęboko wstrząśnięty okrutnym losem, jaki spotkał jednego z naszych kolegów w osobie Michała Machwica, znajdującego się obecnie w skrajnej nędzy, zwracam się do Pana Redaktora z prośbą o zamieszczenie niniejszego apelu:

Michał Machwic jest jednym z najdawniejszych filmowców w Polsce. Jest jednym z głównych twórców i założycieli istniejącego do chwili obecnej Polskiego Związku Producentów Filmowych. Wobec tego, że Związek Producentów Filmowych, zatrudniając dzisiaj kilku sekretarzy, nie potrafił znaleźć jakiegokolwiek zajęcia dla swego założyciela i twórcy, obowiązkiem poszczególnych producentów i członków branży filmowej jest wskazać im drogę do naprawienia wołającej o pomstę do nieba krzywdy, wyrządzonej człowiekowi wielkich zasług. Złożenie ofiar na poratowanie bytu tego człowieka nie jest jałmużną, jest tylko zwrotem długu, zaciągniętego i nie zwróconego przez polski przemysł filmowy i Polski Związek Producentów Filmowych.

Składając tedy skromny datek w Redakcji „X-ej Muzy" do dyspozycji kol. Michała Machwica, wzywam równocześnie wszystkich kolegów z branży filmowej, a przede wszystkim członków Związku Producentów Filmowych do złożenia podobnych ofiar w wysokości, uzależnionej od ich możliwości finansowych.

Mam nadzieję, że uczynek mój obudzi sumienie sfer w tej sprawie miarodajnych, a więc zarządu Polskiego Związku Producentów Filmowych i prezydium Rady Naczelnej Przemysłu Filmowego.

Raczy Szanowny Pan Redaktor przyjąć wyrazy mego wysokiego poważania

(—) Gustaw Kryński

✶

W związku z powyższym listem redakcja „X-ej Muzy" otwiera listę składek. Zadeklarowane sumy należy wpłacać na konto P. K. O. nr. 11840 („X-ta Muza" Czasopismo ilustrowane).

LISTA SKŁADEK:

Gustaw Kryński (ul. Sienna 14) — zł. 5.

ZERWANIE POROZUMIENIA POLSKO-NIEMIECKIEGO

Najważniejszym niewątpliwie wydarzeniem ubiegłego miesiąca w polskim świecie filmowym jest wypowiedzenie przez rząd Rzeczypospolitej zawartego dnia 20 lutego porozumienia filmowego polsko-niemieckiego.

Umowa filmowa niemiecko - polska polegająca na tym, że do Polski miano importować 50 filmów niemieckich podczas gdy Niemcy broniły się przed kupnem bodaj kilku wartościowszych filmów polskich — został zerwany. Porozumienie przestało istnieć i obowiązywać. Przestało obowiązywać, ponieważ Niemcy nawet w części nie dotrzymały warunków zawartej z nimi umowy.

Jak nam donoszą z Niemiec trudności, z jakimi walczyła Państwowa Izba Filmowa były „nie do przezwyciężenia"

Polska nie dała sobie narzucić zasad wyznawanych obecnie w Niemczech. Chcemy dobrych stosunków sąsiedzkich, których wymaga polska racja stanu. Chcemy porozumienia, ale porozumienia zawartego na wzajemnym zaufaniu i na zasadach obie strony obowiązujących.

Nie chcemy chińskim murem odgradzać się od filmów niemieckich. Przecież w produkcji niemieckiej są też filmy godne widzenia. filmy prawdziwie wartościowe. By te filmy znalazły się na naszych ekranach — na to nie jest potrzebne porozumienie, mające jednostronny charakter i mimo, że znacznie większe przynosiło Niemcom korzyści niż nam — było lojalnie dotrzymane.

Okazaliśmy nazbyt dużo dobrej woli i cierpliwości. Jak wiadomo w czerwcu Polski Związek Producentów Filmowych zorganizował w Berlinie pokazy filmów, uznanych przez międzyministerialną komisję kwalifikacyjną za nadające się do eksportu. Kilka z tych filmów wzbudziło zainteresowanie, które okazało się często platoniczne.

W sierpniu odbyła się w Dusseldorfie konferecja rządowa polsko-niemiecka. Na konferencji tej delegacja polska postawiła sprawę w bardzo zdecydowany sposób a strona niemiecka zobowiązała się najdalej do 1 października udzielić definitywnej odpowiedzi i wskazać ilość filmów polskich, jakie zamierza kupić. Odpowiedź ta nie nadeszła i rząd polski musiał umowę wymówić.

MIGAWKI TANECZNE

Pisaliśmy już, że na sezon bieżący na kierownika baletu teatru Wielkiego zaangażowano ponownie emerytowanego baletmistrza Piotra Zajlicha. Cóż? Na bezrybiu i rak — ryba. Dosłownie rak, bo niewątpliwie zasłużony „Piotruś" nie tylko nie posunął się ani kroku naprzód, ale, raczej, przez wzgląd na paroletnią swą bezczynność, cofnął się wstecz. Dobry „na bezrybiu", okazał się wszakże zupełnie do niczego, gdy w „Legendzie Bałtyku" doszło do zarybienia wielkiej sceny mnóstwem wodnic, rozgwiazd, wodorostów i innych tworów flory i fauny podwodnej. Gdy by szło o taniec klasyczny, jeszcze prawdopodobnie jakieś „jeziorko łabędzie" dałoby się zrobić, ale trudno, by syreny i nimfy na dnie morskim robiły w baletkach „entrechats" i „pas de bourrée". Owszem, Parnell w swoim czasie nie krępował się wprowadzenia mętliku rewiowego i zaroił w „Syrenie" dno morskie bigosem klasyczno-rewiowym. Nie było to nawet takie złe... Ale Zajlich to stateczny klasyk, na takie eksperymenty nie pozwolił by sobie. Więc uczynił próbę modernistycznego ujęcia tańców w „Legendzie Bałtyku". Niestety, trudno, by teraz przyswajał sobie styl, zupełnie mu obcy i trudno, by jego „narybek", co dojrzalsze tancerki odeszły, pojął, o co mu chodzi...

Rezultatem obecnej „polityki" jest to, że jedynym wartościowym tańcem w całej realizacji tanecznej „Legendy Bałtyku" był tylko taniec ośmiornicy. Bo tu właśnie postąpiono, jak należy. Zaangażowano specjalistkę — Bożennę Alesso, która była wymarzoną odtwórczynią powierzonego jej tańca. Akrobatyka taneczna Alesso okazała się tu nad wyraz na miejscu: wykonanie znakomite, układ poprawny, zepsuty jedynie niepotrzebnymi odskokami od akrobatyki i figurkami tanecznymi w baletkach, które psuły cały efekt

Całość ewolucyj zbiorowych również zupełnie chybiona. Nic ciekawego, nic zdecydowanego. Całkowite niewyzyskanie możliwości, brak muzykalności zespołu, nieumiejętność nawet chodzenia po scenie (nie w takt i bez wyciągniętego podbicia)...

✶

Próba poranku tańca artystycznego dla dzieci i młodzieży, urządzona przez szkołę Ireny Prusickiej w sali „Cyrulika Warszawskiego", powiodła się całkowicie. Jeżeli chodzi o widowiska dla dzieci, tylko takie właśnie mają rację bytu. Inne — po za niektórymi prowadzonymi dobrze lub znośnie — są przeważnie na niskim poziomie artystycznym i wypaczają tylko smak widowiskowy dzieci.

Czy nad przedstawieniami dla dzieci nie należałoby w ogóle rozciągnąć poważnej opieki pedagogicznej i kontroli ze strony władz? Natomiast taneczny typ widowiska, urządzony przez szkołę o wysokim poziomie, jest zawsze wskazany i polecenia godny. Tak było i tym razem. Niektóre tańce były wręcz świetne. Więc np. krakowiak we wzorowym wykonaniu Danusi Chotkowskiej i Mileny Lubiczówny, w którym Chotkowska szczególnie błysnęła mimiką wręcz mistrzowską. Ładnie pomyślany i sprawnie wykonany „Kopciuszek" Eli Lubelskiej. Przepyszne „Kumy" (świetny układ i dobre wykonanie Eli Lubelskiej i Romy Natanson). Przemiły taniec holenderski Romy Glan i Luni Potockiej, w którym szczególnie Roma Glan zachwycała urodą, budową, wdziękiem tanecznym i mimicznym oraz trafną kokieterią i zdumiewającą swobodą sceniczną. Znany już i malowniczy motyw ludowy Mileny Lubiczówny. Muzykalnie zatańczona polka Irenki Kowalewskiej. Zabawny „Boy i pokojówka" w wykonaniu dobrze się rozwijającej tanecznie Aliny Banaszewskiej i Tei Jung. Wreszcie interesujący „Kobold" Stasi Appel oraz jej „Groteska", odtańczona wespół z Teą Jung. Było też kilka tańców słabszych, ale nie zbyt rażących.

Pożądanym byłoby aby program obejmował i jakiś cały balecik, aby były podobne przedstawienia urządzane, stale przy zmianie numerów każdego dnia świątecznego.

✶

Na tej samej sali wystąpiła popołudniu Dvora Lapson z Ameryki, odtwórczyni tańców żydowskich i arabskich. Było by to może nawet interesujące, gdyby w tym było mniej mimiki, a więcej tańca. Co prawda, o wzory tańca żydowskiego bardzo trudno, bo o ile wzory tańca starogreckiego i staroegipskiego można czerpać z płaskorzeźb i fresków, po tańcu żydowskim nie ma żadnych pozostałości — tworzenie wszelkich dzieł plastycznych było bowiem przez religję zabronione. W interpretacji Dvory Lapson, musiało więc być sporo dowolności. Najciekawiej wypadł taniec arabski oraz palestyńska „hora". Reszta była przeładowana pantominą i mimiką, bardzo niewiele z tańcem mającą wspólnego.

✶

Skoro już mowa o „Cyruliku", należy z uznaniem powitać, że Alicja Halama święci tam swój powrót do sztuki tanecznej. Będzie jednak musiała odnaleźć dla siebie rodzaj tańca. Jej taniec hiszpański (układu Bekeffi) był wielce obiecujący, Chopin jednak — znacznie mniej. No, ale to już rzecz wiadoma, że Chopin niezbyt służy Halamom. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że tancerka o takim wrodzonym i rodzinnym talencie oraz o tak zachwycającej aparycji, powinna tańczyć i tylko tańczyć.

✶

W teatrze „8.15" Papliński ułożył kilka przyjemnych tańców. W kankanie bardzo korzystnie zaprezentowały się: wybitnie utalentowana Bożejewiczówna i jak zwykle sumienna Kowalczykówna. Duet Paplińskiego z Kołpikówną był bardzo ładnie ułożony i wykonany, ale nie bardzo się łączył z całością. Przy okazji pytanie — dlaczego Kołpikówna zaniedbuje klasycyzm, w którym tak wiele miała by do pokazania?

Henryk Liński

Z SAL KONCERTOWYCH

Drugi z kolei, piątkowy koncert filharmoniczny stanowił swego rodzaju sensację ze względu na osobę solisty — sędziwego nestora pianistów, jednego z ostatnich uczniów Liszta — Emila Sauera.

Z pianistą tym poznaliśmy się już w ubiegłym sezonie; tym razem jednak Sauer ukazał nam drugie swe oblicze — kompozytora. Przyznać jednak trzeba, że o wiele większą wartość przedstawia Sauer jako wykonawca.

Jego koncert, w którym zbyt widoczne są reminiscencje Chopina i Liszta jest ubogi w treść muzyczną, problemy techniczne zbyt jednostajne, inwencja melodyjna naiwna, zbyt cukierkowa i nieurozmaicona rytmicznie. Gdyby nie osoba wykonawcy, koncert wypadłby nader blado. Sauer, mimo podeszłego wieku, wykazał, zwłaszcza w koncercie Liszta wiele energii, wytrzymałości i temperamentu. Bezsprzecznie górował on nad orkiestrą, promieniując swym ogniem, nerwem i życiem. W niebywałej technice palcowej, akordowej i oktawowej mogliśmy poznać godnego ucznia wielkiego pedagoga — Liszta. Gorąco oklaskiwany — artysta z rozczulającą prostotą — kilkakrotnie bisował, udawadniając w interpretacji bisowanych utworów, zwłaszcza w nocturnie Chopina, swą wybitną indywidualność.

Orkiestra dyrygowana doskonale przez Edwarda van Beinuma brzmiała zwarcie i szlachetnie. Usłyszeliśmy tu, po raz pierwszy w Polsce, II symfonię, wybitnie utalentowanego młodego kompozytora holenderskiego — Henk Badingssa. Utwór ten stanowi klasyczny przykład modernizmu już zdeklarowanego, przemyślanego i dojrzałego. II symfonia — to nie eksperymenty, to nie efekciarstwo, cechujące tak często utwory nowoczesne; z symfonii tej bije polot i natchnienie kompozytora, który głęboko przeżył i przemyślał swe dzieło. Niesłychanie bogata, ciekawa i podniecająca rytmika, przerywana jest momentami czysto melodyjnymi, a tak szlachetnymi i śpiewaczymi, iż wydaje się, że to powracająca fala romantyzmu, nad którym autor wyraża swój zachwyt i entuzjazm i chce wykazać, że tradycji nie można obalić. Badingss dał instrumentację nad wyraz ciekawą i przyjemną. Forte w tutti brzmi pełno i jędrnie, a nie krzykliwie, co tak często znamionuje efekciarskie kompozycje młodych talentów.

Usłyszeliśmy również znany nam już „Tryptyk pastoralny" — Żabińskiego, którego profil kompozytorski nie jest jeszcze wyraźnie zarysowany, ale który niewątpliwie rokuje duże nadzieje.

Na zakończenie odegrano „Rapsodię hiszpańską" — Ravela, utwór ten doskonale uwypukla sylwetkę kompozytora — mistrza instrumentacji i cyzelatora formy. Myśl muzyczna jest tu skupiona i logicznie prowadzona; nie ma nic zbędnego i rozwodnionego, a jednostajna rytmika hiszpańska, nie nuży, dając co raz jakieś niespodzianki, czy to instrumentacyjne, czy w zakresie harmonii. Całość jest unerwiona i trzyma słuchacza w ustawicznym napięciu.

★

Na ostatnim koncercie piątkowym w Filharmonii poznaliśmy flamandzkiego dyrygenta Godefroid Devreese'a. Gość dał na wstępie rzadko grywaną VII symfonię Beethovena, która jednak, prócz II-giej części, zagranej bez zarzutu — brzmiała zbyt ciężko. Ten tak rzadki u Beethovena wybuch wesołości i pogody ducha wymaga więcej lekkości, delikatności i swobodnej prostoty. Devreese dał sobie natomiast doskonale radę z naszą orkiestrą w „Suicie koncertowej" — Woytowicza, z której usłyszeliśmy dwa doskonałe fragmenty. O Woytowiczu mamy już ustaloną opinię. Nadzwyczajna dbałość formy, kunsztowna, wprost matematyczna polifonia, zmysł instrumentacyjny, bogactwo treści — oto zalety jego kompozycji.

Koncert dał również okazję do podziwiania przecudnej baśni o „Ognistym ptaku" — Igora Strawińskiego. To zmaganie się dobra i zła w tak prostym, niefilozoficznym, a nawet, legendarnym ujęciu — robi nadzwyczajne wrażenie.

Solistką podczas tego wieczoru była uczennica Sauera — Angelica Morales, która w odegranym koncercie c-moll Beethovena wykazała muzykalność i duże walory pianistyczne, tym nie mniej odczuwało się, że koncert ten nie leży w naturze pianistki i jej usposobieniu; obiektywizm i klasyczne trzymanie się tempa przychodziło jej z trudem. I dlatego właśnie largo koncertu było zbyt zromantyzowane, a nawskroś popisowa i niestylowa kadencja Sauera raziła brawurą i efekciarstwem, tak dalekim Beethovenowi. Dopiero w naddatkach Angelika Morales poczuła się „w swoim żywiole", wykazując ognisty temperament i wiele precyzji, której zresztą nie można jej odmówić i w koncercie.

Dziwne jednak, że pianistka wybrała właśnie ten koncert, a nie np. Liszta, czy Rubinsteina, które grałaby napewno lepiej, z większym przejęciem i entuzjazmem.

Wanda Jarzębowska

Z cyklu: FILMY ŻYCIA

„Dearling, tęskno mi do Ciebie, a że Cię ujrzę dopiero jutro, chwytam za pióro aby ci po raz setny powtórzyć — że Cię kocham! Pamiętasz, jak wracaliśmy o zmroku polną ścieżyną do domu, a Twoja mała pieszczotliwa rączka spoczywała pełna zaufania w mojej dłoni. Byłaś taka cudna i cicha, jak modra fala jeziora, a moje myśli unosiły się nad tobą jak chyże jaskółki. Pamiętasz, jak nasze usta gorące spotkały się w słodkim pocałunku, który mi rozpromienił duszę... Zostań ze mną na zawsze a będę ci kwiaty mych myśli słał pod nogi, bo kocham Cię i pragnąłbym mówić o tym całemu światu...

— — — — — — —

Przez otwarte okno wpada lekki powiew wietrzyka i muska pieszczotliwie złotopłową głowę piszącego młodzieńca. Odkłada pióro, zamyśla się na chwilę. Za oknem wre i dudni tysiącem odgłosów wielkie miasto. Zgrzyt przebiegających wozów elektrycznych, sygnały samochodowe i gwar tłumu śpieszącego we wszystkie strony, łączą się w jedno wielkie, potężne unisono symfonii wielkomiejskiej. Młodzieniec jakby obudził się ze snu. Podnosi głowę i za chwilę, całkowicie już opanowany, kładzie swój podpis, szybko zapala świecę, roztopionym lakiem pieczętuje list i do gorącej jeszcze masy przyciska usta.

— — — — — — —

„Skarbie mój! Wróciłam dopiero w tej chwili, do siebie i już siadam przy mym biureczku, by ci napisać parę słów, mój ty słodki chłopczyno. Jest już okropnie późno ale jego zdaje się, dzięki Bogu, jeszcze niema. Żeby się tylko niczego nie domyślił. To było by okropne! Jutro o tej samej godzinie i na tym samym miejscu. Całuję cię długo i słodko, najmilszy...

— — — — — — —

Drobna, biała rączka wodzi szybko piórem po wytwornym pergaminowym arkusiku. Nagle kobieta wstaje, podchodzi do gotowalni i ujmując rozpaloną twarz w dłonie, spogląda w lustro. Jest piękna. Kształtną głowę zdobią fale bujnych, ciemno kasztanowatych włosów. Ogromne łuki brwi, wzniesione wysoko pod klasycznym czołem nadają jej wyraz jak gdyby zdziwienia, a podłużne ciemno-niebieskie oczy tlą żarem niezaspokojonych tęsknot i pragnień krwi młodej i żądnej rozkoszy. Dotyka dzwonka...

— Pan w domu?

— Pan wróci dopiero o jedenastej...

O jedenastej... dobrze... możesz iść...

Szelest portiery. Drzwi zamykają się. Młoda kobieta myśli przez krótką chwilę. Nagle bierze list, szybko zakleja kopertę, kładzie kapelusik i za chwilę dudni już lśniąco obutymi stopkami po schodach.

— — — — — — —

Olbrzymia, hala dworca kolejowego. Zgrzytają hamulce wózków bagażowych, syczą parowozy, hałasują tragarze i przekupnie. Para uderza olbrzymimi kłębami o szklany strop. Setki ludzi biegną we wszystkich kierunkach, każdy z nich śpieszy, klnie, śmieje się, płacze lub raduje. Przy skrzynkach pocztowych, opróżnianych co chwila, rój publiczności. Na samym końcu długiego szeregu stoi złotowłosy młodzieniec, zaciskając w dłoni list, zaopatrzony krwawoczerwoną pieczęcią.

Przez tłum przeciska się drobna postać kobieca również z listem w ręku. Nagle staje zdumiona.

— Ty tutaj?!

— Kochanie!

— Wrzucam list do ciebie...

— A ja do ciebie...

Tuli jej drobną rączkę pieszczotliwym ruchem. Daj mi ten list jedyna, a tutaj masz mój....

Kobieta przytrzymuje list przez chwilę w biało urękawiczonej rączce...

— Jaka szkoda... nalepiłam już znaczek!

T. G.

KONCERTY JEAN BOITELA NA WILEŃSZCZYŹNIE

Młody, wybitnie utalentowany pieśniarz — recytator, Jean Boitel, przed wyjazdem do Paryża, odbędzie tournée po Wileńszczyźnie i kresach wespół z kompozytorem M. Ferszko.

Artysta wykona szereg przepięknych pieśni hiszpańskich, korsykańskich i argentyńskich, melodeklamacje w języku polskim oraz piosenki z bulwarów paryskich.

The FULL PROGRAME OF The POLISH PRODUCTION GIVEN ON THE FIRST OF NOVEMBER 1937

The Title of the Film	Production	Adress	District
The opera Halka (Halka)	„Rex-film"	Moniuszki 4	Warsaw
I said a lie (Skłamałam)	„Warsz. Tow. Filmowe"	Nowogrodzka 40	„
Three ruscals (Trójka Hultajska)	„Femika-film"	Marszałkowska 108	„
The Girls of Nowolipki Street (Dziewczęta z Nowolipek)	„Parlo-firm"	Marszałkowska 118	„
The Ghost (Dybuk`	„Feniks"	Chmielna 43	„
The Qeen of the City (Królowa Przedmieścia)	„Eksplo-film"	Chmielna 43	„
Clumsy (Niedorajda)	„Rex-Film"	Moniuszki 4	„
Kosciuszko under Racławica (Kościuszko pod Racławicami)	„Libkow-film"	Marszałkowska 96	„
The Girl who seeks love Dziewczyna szuka miłości)	„Panta-film"	Warecka 13	„

TO NIE WSTYD! ZA TO NIE BIJĄ!!

Pani Dulska każe się kłaniać

Znów na konkursie na Miss Europę jesteśmy na ostatnim miejscu. Jakaś samozwańczyni w osobie p-nny Karczmarkiewicz (fotografja w „Illustration" nie daje pojęcia o typie urody ambitnej panny) znalazła się bez miejsca.

Pani Dulska nie uznaje konkursów piękności! Moralność Pani Dulskiej jest obrażona konkursami piękności. Pani Dulska (secundo voto Kołtuńska) uważa, że udział oficjalny Polki w międzynarodowym Konkursie Piękności jest rzeczą nieprzystojną.

Tedy zawsze znajduje się jakaś nieoficjalna, która nas ośmiesza.

Francja, Anglia, Finlandia, Dania, Szwecja, Niemcy i t. d. mogą oficjalnie uczestniczyć w takim konkursie. Nam nie wypada, dla nas wstyd. Ciągle chcemy być surowi, dostojni, makabryczni. Mówi się o „niezdrowej" atmosferze takich konkursów. Dwa razy braliśmy udział w wyborach.

Pierwszy raz zwyciężyła p. Kostakówna, drugi raz p. Batycka.

Jako wice-miss wypłynęła p. Kajzerówna, co ułatwiło jej wejście na scenę. Nasze miss Polonie miały szacunek, sympatię i popularność w społeczeństwie, a zagranicą pięknie nas reprezentowały.

Skąd więc to nagłe zgorszenie, ta ucieczka od przyjemnej i nieszkodliwej rozrywki? Znów drapowanie się w jakąś tragiczną togę bez sensu i celu. Jeszcze jeden tryumf tępej i swarliwej jędzy pani Dulskiej-Kołtuńskiej, której przysłowiowa „moralność" ciągle jeszcze pcha się do decydujących rozstrzygnięć i sprytnie kretyńską swą etykę narzuca społeczeństwu.

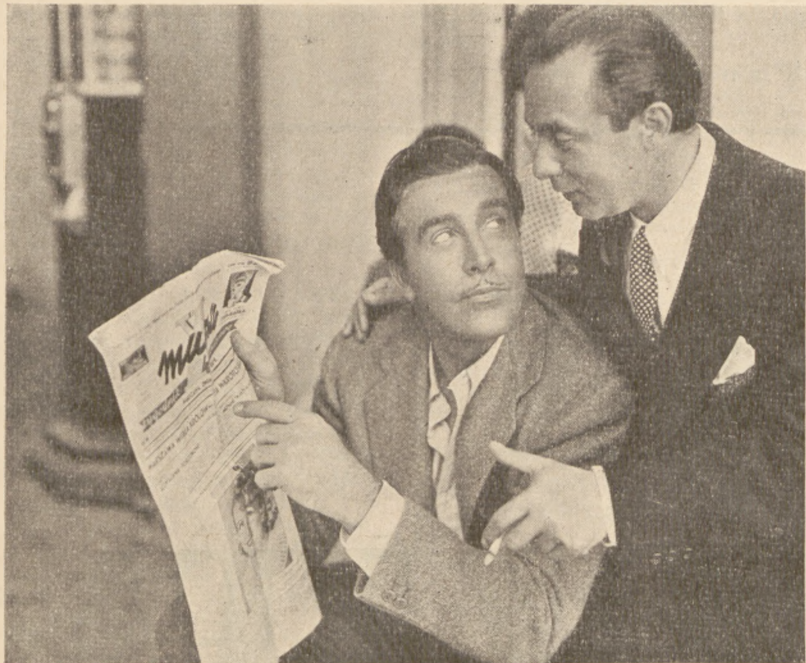
MISHEL S. GREEN

DROGA DO SŁAWY

KORESPONDENCJA Z HOLLYWOOD

Były czempion boksu Maks Baer, będąc u szczytu swej sławy, brał udział w filmie p. t. „Bokser i lady", nakręcanym przez znakomitego Van Dyke'a. Zepsuty powodzeniem bokser w początkach nagrywania filmu, nieco krnąbrnie odnosił się do wskazówek udzielanych mu przez reżysera, który ostatecznie został wyprowadzony z równowagi.

„Jeśli będzie pan nieposłuszny — to urwę panu głowę" — zagroził pewnego dnia silnie wzburzony.



Marek Windheim (polak) tłumaczy John Boles'owi, popularnemu aktorowi wytw. „Columbia" treść artykułów w „X-ej Muzie".

Gdy film był już jednak na ukończeniu, dowiedziałem się że Maks Baer ubóstwia swego reżysera, co mnie niesłychanie zdumiło. Zaciekawiony tym zwróciłem się do Baera prosząc go o wyjaśnienie.

Czyżby czempion świata przestraszył się groźby rękoczynu?

— Baer roześmiał się — przestraszyć się, ależ nic podobnego. Poprostu Van Dyke należy do tego typu ludzi, których aby pokonać należało by wpierw — zabić.

Rozmowa ta miała miejsce dosyć dawno. Obecnie jednak z powodu pewnego młodzieńca przypomniałem ją sobie. Ów młody człowiek o ujmującej powierzchowności i innych zaletach niezbędnych dla aktora filmowego, zwierzył mi się ze swego niepowodzenia.

— Próbowałem dostać się do wszystkich wytwórni... Napróżno! Wszędzie słyszałem mniej więcej tę samą odpowiedź: pan nie nadaje się. Wyjeżdżam też stąd, proszę jednak niech mi pan powie czego ja nie posiadam z tego, co posiadają wszystkie tutejsze znakomitości?

Było mi trudno odpowiedzieć, gdyż doprawdy rozmówca mój posiadał nie mniej czaru niż Clark Gable i wielu innych znanych aktorów filmowych. Wówczas przyszło mi w sukurs zdarzenie Baera z Van Dyk'em. Znalazłem rozwiązanie — wszyscy ci, którym nie powiodło się w Hollywood, za mało przejawiali uporu, stanowczości i silnej woli.

Janet Mc Donald dziś uznana i oceniona wielka gwiazda, przez lat piętnaście walczyła o sławę w ciężkich bardzo warunkach. Początkowo jako chórzystka, niemal głodowała. Starała się więc o posadę modelki — bezskutecznie „Pani nie ma urody" opowiadano. Wreszcie malenka rólka w sztuce... Marzyła, że nareszcie zwróci na siebie uwagę. Niestety, w ostatniej chwili rola została wykreślona. Rozczarowana przyjechała do Hollywood, gdzie po krótkiej współpracy z Mauricem Chevalier znów przez siedem lat czekała na... rolę. Mc. Donald przez czas ten kształci w dalszym ciągu swój głos, nie ustępuje, uparcie czeka... I wreszcie film „Kapryśna Marietta". Droga do sławy otwarta, Janet Mc Donald zrobiła karierę.

Normie Schearer nim została „gwiazdą"', radzono by lepiej poszukała sobie innego zajęcia i zapomniała o filmie. Nie zniechęciło to jednak dziewczyny. Kształciła się i osiągnęła rezultaty.

Claudette Colbert zaproszona przed dziesięciu laty do Hollywood, po udanym występie na scenie, nagrywa film. Generalna klapa — Colbert uznana zostaje za niefotogeniczną. Aktorka nie dała za wygraną. Posiadłszy w krótkim czasie sztukę charakteryzacji, potrafiła tak uwydatnić swe rysy charakterystyczne, że zaczęła otrzymywać drobne rólki. Wkrótce stwierdzono, że Colbert miała niewątpliwy talent.

Clark Gable jeszcze przed trzynastu laty tylko statystował. Nie zrażał się tym jednak i wreszcie zwrócono uwagę na jego męską urodę. Początkowo dostawał małe rólki, w końcu zdołał przekonać swych zwierzchników, że przecież poza urodą posiada jeszcze i talent.

Przykładów takich mógłbym przytoczyć setki, to też wszystkim pragnącym osiągnąć coś w stolicy filmu, przypominam słowa Maksa Baera o Van Dyke'u: „tego człowieka należało by wpierw zabić, aby go pokonać" ...

Mishel S. Green



Jeden z najbardziej utalentowanych aktorów w Hollywood pracujący dla wytw. „Warner Bros" Humprey Bogart — włada aż 6-cioma językami. To też czytanie „X Muzy" nie sprawia mu trudności.

„Pierwsza miłość Thei Bianchi"

Romans filmowy Leopolda Brodzińskiego 17)

(ciąg dalszy)

— O czym on mówi? — pomyślała — Dlaczego „Miłość wśród fal" ma być jakimś przewrotem?

A Jasza mówił dalej:

— Mój projekt zwycięża! Po sukcesach operetek filmowych musi zatryumfować filmowa opera. Postanowiliśmy filmować „Manon Lescaut" całkowicie z muzyką Masseneta. Wiem, że „Metro Goldwyn" projektowało „Pajaców" z specjalnie sprowadzonym z Europy włoskim tenorom i Janettą Mc. Donald, ale coś się tam zahamowało. Musimy ich wyprzedzić. Pani będzie pierwszą gwiazdą operowego filmu. Trzeba się śpieszyć.

— Wątpię — odpowiedziała Thea, abyśmy zdążyli wyprzedzić „Metro Goldwyn". Musimy najwpierw skończyć z „Miłością wśród fal".

— A to nie ważne — powiedział Jasza i zaczerwienił się — takich filmów fabrykuje się mnóstwo. To może zagrać pierwsza lepsza aktorka o niezłej aparycji. Myrna Loy naprzykład.

Jasza mówił coś dalej, ale słowa jego nie dochodziły do Thei. Myśl jej zajęta była czym innym.

— Przecież ta „Miłość wśród fal" była lansowan przez Jaszę. Podobno specjalnie dla niej, Thei Bianchi. Coś w tym się kryje, jakieś niebezpieczeństwo, z którym trzeba walczyé zasadniczo, nie znając go dokładnie.

Skoncentrowała całą swoją uwagę i słuchała pilnie wywodów francuza.

— Rola w „Miłości wśród fal" jest rolą banalną.

Thea przerwała ostro:

— Namawiał mnie pan, bym grała banalną rolę.

— Dla pani rolę tę mógłbym rozwinąć, wzbogacić. Tak zamierzałem, ale „Manon Lescaut" wynosi panią ponad wszystkie gwiazdy. Jako śpiewaczka filmowa kładzie pani odrazu na obie łopatki Mc. Donald i Grace Moore...

— Nie zrezygnuję z roli w „Miłości wśród fal" — zdecydowała nagle Thea. Reklamowano mnie już w tym filmie. Złośliwi będą mieli okazję do przypuszczeń, że odebrano mi rolę.

— Przeczytają już jutro wiadomość o „Manon", jeśli pani nie będzie się upierać.

Zapanowała cisza. I gwiazda i reżyser coś rozważali w skrytości ducha. Po chwili Jasza wyrzucił ostry pocisk.

— A jeśli pani upiera się przy „Miłości wśród fal", dyrekcja sprowadzi do „Manon" śpiewaczkę z Europy.

— Kogo? — zawołała Thea, w której odezwała się żyłka teatralna — może Martę Eggert i znów odejdzie z niczem, jak za pierwszym razem.

— Wyrobiła się przez ten czas — pocieszał Iwanoff. A zresztą są inne: włoszki młode, ładne z pięknymi głosami.

Thea namyślała się przez chwilę.

Któż byłby moim partnerem w „Manon"? — zapytała.

— Przemyślimy jeszcze tę sprawę.

— Nie, nie, nie... Muszę to wiedzieć natychmiast — upierała się Thea po raz pierwszy w swoim życiu artystycznym— Titto Schipa za stary, Tino Patiera do niczego, Lauri Volpi za bohaterski, Gigli ospały brzuchacz, Kiepura nie przyjął się w Ameryce, Martini...

Tu urwała.

— Bo Martini byłby właściwie doskonałym partnerem — pomyślała połowa jej mózgu, ta aktorska. Rola świetna, partia świetna, partner znakomity, powodzenie murowane, jeśli sprowadzą inną, nie, to byłby skandal. I postanowiła sobie w myślach: — Będę grać „Manon"!

A powiedziała głośno:

— Gdybym zrezygnowała z „Miłości wśród fal", to napewno i Tom Rean nie chciałby być partnerem Myrny Loy. Zresztą wypożyczyliby wtedy Weissmüllera.

— O nie — spokojnie, ale stanowczo powiedział Iwanoff — Rean musi coś robić. Jest na stałym kontrakcie. Nie nauczymy go śpiewać tenorem, aby partnerował pani jako kawaler de Grieux.

— Nie rozumiem pańskiego dowcipu — uniosła się Thea — Pan zdaje się zapominać, że to ja przyczyniłam się do tego, żeby z prostego asystenta stał się pan samodzielnym reżyserem w Hollywood.

— Pamiętam doskonale ile winienem pani życzliwości, ale wiem też, jakie są moje obowiązki względem wytwórni. Musimy ubiec konkurencję i nakręcić „Manon", której zresztą ja nie zamierzam realizować.

— Ach, nie — zastanowiła się Thea i znów wszystko wydało jej się jeszcze mniej zrozumiałe.

— Przyjedzie pewien włoch, rutynowany operowiec i filmowiec. Będzie pani z niego bardzo zadowolona. Przytym nie ma żadnych uprzedzeń.

— Cóż mnie obchodzą czyjeś uprzedzenia. Jestem Thea Bianchi, panie Jaque! Skończmy z tym panie asystencie!

Jasza wstał.

— Więc upiera się pani przy „Miłości wśród fal"? To śmieszne. Przecież kontraktu pani nie podpisała. Wczoraj sfinalizowaliśmy umowę z Myrną Loy.

Thea zbladła.

— Po za moimi plecami!! — krzyknęła ostrym, wulgarnym głosem, jakim nigdy w ciągu 32-ch lat swego życia nie przemówiła.

— Dyrekcja chce wynieść panią jak najwyżej — z nieporównanym chłodem powiedział Jaque.

— Dyrekcja nie zobaczy mnie więcej na oczy. A jeżeli uda się im mnie przebłagać, to pana tu nie będzie... Albo nie, zostanie pan tutaj, ale znowu jako ten, co nosi egzemplarze za reżyserem!

Jaque skłonił się i wyszedł.

Thea została sama.

— Co on myśli? Co on myśli? — powiedziała głośno i zaniepokoiła się brzmieniem tych słów, bo przecież doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że nie kwestia roli, ale sprawa Toma Reana jest tym, co ją boli i dręczy...

ROZDZIAŁ 27.
WALKA SŁOWIKÓW

Sama już myśl o przemianach, odnalezionych — po krótkiej analizie — w własnej duszy i w własnym mózgu — wydała się Thei obrażająca. Tyle lat powodzenia kariery osobistej i artystycznej, nie zdołały „zepsuć" Thei: zawsze była sprawiedliwa, równa, opanowana, nigdy nie rozkoszowała się egotycznym zapatrzeniem w swoją wielkość, lub choćby tylko w swoje jakieś wartości rzeczywiste, czy urojone. A tutaj, w dusznej atmosferze „miasta cudów", w piekle ambicji, w czyśccu lęków nieustannych o każdą „nową twarz" i ona, Thea Bianchi, przeistaczała się w rozhisteryzowaną, despotyczną „star", której fantazje, kaprysy i ów właśnie despotyzm były raczej zamaskowaną trwogą o jutro. Bo jutro Hollywoodu jest inne, niż normalne jutro każdego człowieka pracy, bez względu na różnicę sfery, klasy, zasobów i walorów osobistych. Jutro Hollywoodu to groźne „memento": to ewentualność upadku zdeklasowania, złego rozgłosu, początek końca. Jutro może być tylko lepsze niż dziś, lub gorsze, niż dziś. Tam nie stoi się w miejscu, można tylko wznosić się i upadać.

Po rozmowie z francuzem myślała Thea właśnie o tym „jutrze". Zagrożono jej nazwiskami rywalek. Wiedziała, że zadomowione w Hollywood „słowiki ekranu" stanowią oddzielny klan, klan o tyle oryginalny, że z czterech, czy pięciu zaledwie członków złożony. Kilka tych kobiet, nienawidzących się nawzajem, wobec Thei zajęło z miejsca pozycję zdecydowanie wrogą. Nie przyjęto jej do „klanu", który uważał nową gwiazdę za śmiertelnego wroga z tej choćby przyczyny, że miała — jak głosiła fama— genialnego menagera w osobie męża i że potrafił on dla swej żony wydobyć warunki stokroć wyższe, niż osiągnęły jej rywalki.

Przy tym rozjątrzone „słowiki Kalifornii" oczekiwały, że europejka będzie zabiegać o zbliżenie, a tymczasem Thea, zaambarasowana ciągle myślą o dręczącej ją zagadce uczuciowej, zbagatelizowała sprawę. A słodko śpiewające ptaszki ogarnął istny szał: puściły w ruch wszystkie arkana plotki, intrygi, kontr-reklamy i oto pewnego dnia w jednej z popularnych, paszkwilowych, brukowych szmat Los Angeles ukazał się artykulik zatytułowany „Gdzie są perły Thei Bianchi?". W artykule tym insynuowano, że gwiazda symulowała zaginięcie naszyjnika różowych pereł, aby otrzymać odszkodowanie do Towarzystwa Asekuracyjnego.

„Geornescu wie najlepiej, gdzie są różowe perły" — kończył się jadowity paszkwil.

Thea nie przeczytała brukowca i nie wiedziała, że całe Hollywood nie mówi o niczym więcej, jak tylko o jej perłach i jej małżonku. Nie przeczytała też innej szmaty, donoszącej o rozstaniu nowopasowanej pary flimowych kochanków: „Thea Bianchi i Tom Rean rozłączeni! Tom partnerem Myrny Loy, Thea partnerką króla pieśni,B Martini'ego".

Ale Geornescu przeczytał obydwa artykuliki i nieoczekiwanie pewnego wieczora zjawił się w „home" swej małżonki.

Thea zdziwiła się raczej, niż ucieszyła, ale zarazem poczuła, że nie jest już tak beznadziejnie sama ze swymi myślami, których właściwie sprecyzować nie umiała, czy nie chciała.

Powitała męża, jak przyjaciela, niosącego ratunek i pomoc w trudnej chwili.

ROZDZIAŁ 28.
ZERWANIE KONTRAKTU

Cały dzień Thei był jakiś niefortunny. Rano telefonowała sekretarka reżysera, że konferencja, wyznaczona na godzinę drugą popołudniu, zostaje odłożona na czas nieograniczony. Thea przeczuwała, że ta „prolongata" kryje w sobie jakąś tajemnicę. Prawdopodobnie „słowiki" puściły w ruch wszelkie arkana intrygi i starają się odebrać Thei film śpiewny, który w tej chwili stał się wszystkim dla Thei Bianchi. Zapomniała o projektach, tyczących się jakiejś poprawki w stosunku do męża, zmatowiał nawet w podświadomości obraz Toma, który przez tyle miesięcy jak nieodstępny towarzysz, jak cień narzucał się wszystkim myślom aktorki.

Telefon miss Ruth zdenerwował Theę. Czuła, że jest źle.

Dalszy ciąg nastąpi.



Mary Gabrielli jako pełna pikanterii „Cnotliwa Zuzanna" w otoczeniu znakomitych partnerów: Zbyszka Rakowieckiego i Jerzego Liedtke—w brawurowym tańcu i piosence p. t. „Ca c'est Paris"

TANIEC ZDOBYWA FILM

Nie będę się rozwodził nad wszelkimi możliwościami kinematografii z punktu widzenia — publiczności. Jedną z najważniejszych jest — zdaje się — możność oglądania gry znakomitych artystów scenicznych wszystkich narodowości, słuchania sław śpiewaczych, czy podziwiania kunsztu wirtuozów. Widzieliśmy już filmy wykonane przez sławne zespoły teatralne; widzieliśmy już filmy reżyserowane przez Reinhardta; słyszeliśmy Smitta, Tibbeta, Kiepurę i Beniamina Gigli, a nawet grę w wykonaniu Paderewskiego — dotychczas jednak pozostał niewykorzystany całkowicie — taniec.

Zachwycamy się co prawda niejednokrotnie wyczynami tanecznymi Rogers i Astair'a, podziwiamy Eleonorę Powell — ale bądźmy szczerzy, jest to ciągle to samo... Zmieniają się tylko melodie i akcję.

Dotychczas nie było długometrażowego filmu, w którym taniec byłby treścią, niejako zagadnieniem, a nie fragmentem, mającym urozmaicić akcję; nie było filmu, w którym by taniec potraktowany został jako sztuka dla sztuki. Dopiero teraz luka ta zostanie wypełniona — ujrzymy bowiem jeden z najlepszych zespołów baletowych świata — jeśli nie najlepszy — sławny balet amerykański. Składa się on z 18-u młodych dziewcząt, z których każda ma za sobą studia w najpoważniejszych akademiach świata przyczem traktuje taniec jako powołanie. Poziom techniczny artystek jest niemal idealnie równy; „niemal" dlatego, że dwie z pośród nich zasługują na specjalną wzmiankę. A więc — Leda Anchutina, z pochodzenia Rosjanka (studiowała taniec u Theodory Kosslof, następnie u Fokiny i Mordkina). Drugą tancerką, o której wspomnieć należy, jest — Micheline Petolas, z pochodzenia Francuzka. Studiowała ona u sławnych baletmistrzów Opery Paryskiej, Egorowa i Zambelli, następnie w Nowym Jorku u Fokiny i Koboleff.

Nie potrzeba podkreślać, że każda z tancerek Baletu Amerykańskiego stanowi ideał współczesnej budowy kobiecej. Kierownikiem Baletu jest Georg Balanchine, baletmistrz Metropolitain Opera House w Nowym Jorku. Specyficzne, modernistyczne ujęcie baletów, wystawianych przez niego w Metropolitain wobec niezwykle wymagającej publiczności — zyskały mu sławę w całej Ameryce. Balanchine spędził kilka miesięcy w Hollywood, studiując rodzaj tańca, najbardziej odpowiadającego możliwościom filmu. Obecnie Balet Amerykański przebywa już od szeregu tygodni w Hollywood i nakręca długometrażowy film w kolorach naturalnych, pod kierunkiem S. Goldwyna.

Miłośnicy tańca w jego idealnej, współczesnej postaci będą więc wkrótce mieli prawdziwą ucztę.

G—N

W GRUDNIU KORONACJA KRÓLOWEJ SCENY POLSKIEJ

Główne zainteresowanie stolicy skoncentrowało się na Marii Malickiej. Poznań, Kraków i Lwów, wysuwają naprzód swoje kandydatki. Tak np. znaczna ilość głosów z Poznania pada na Janinę Biesiadecką, na którą też napłynęły ostatnio liczne głosy z Katowic. Kraków przyznaje, jak dotąd, palmę pierwszeństwa Zofii Jaroszewskiej, wyróżnia też Romę Pawłowską-Jezierską. Lwów ujawnia zainteresowanie jedną tylko aktorką — Ireną Eichlerówną. Świetna ta artystka cieszy się tam widocznie większą popularnością, niż w stolicy, aczkolwiek po „Wilkach w nocy" i Warszawa wykazała tendencję zwyżkową Eichlerówny. Do zwiększenia się szans Janiny Romanówny przyczynia się jej tournée z Maszyńskim („Freuda teoria snów") nadeszły bowiem na nią głosy z Krakowa, Lwowa, Wilna i Poznania.

Aczkolwiek przedmiotem konkursu jest nie film, tylko teatr, to jednak w ostatnim tygodniu, wskutek powodzenia „Dziewcząt z Nowolipek" Andrzejewska i Barszczewska zyskały również szereg punktów.

Charakterystyczny jest natomiast stosunek do Miry Zimińskiej, która wciąż pozostaje na ostatnim miejscu. Dlaczego? Otóż od dwóch przeszło lat Zimińska nie grała w dramacie i komedii, publiczność zaś, tak bardzo adorująca świetną gwiazdę, najwidoczniej uznaje ją obecnie za aktorką rewiową.

Jury plebiscytu składać się będzie z szeregu wybitnych sił świata literackiego, dziennikarskiego i teatralnego; przewodniczyć mu będzie prezes Związku Autorów i Kompozytorów Scenicznych, oraz Związku Sprawozdawców Dziennikarzy i Publicystów Filmowych, redaktor Tadeusz Kończyc.

Obecnie posiadają głosów:

Malicka — 1131, Romanówna — 591, Biesiadecka — 513, Andrzejewska — 401, Jaroszewska — 402, Lindorfówna — 387, Gorczyńska — 362, Pancewicz-Leszczyńska — 344, Barszczewska — 342, Eichlerówna — 248, Modzelewska — 217, Pawłowska-Jezierska — 119, Cieszkowska — 115, Relewicz-Ziembińska — 114, Lubieńska — 186, Grywińska — 126, Smosarska — 21, Ankwiczówna — 20 i Mira Zimińska — 7.

Kupon zamieszczony dziś jest ostatnim.

Przypominamy, że głosy na ustalone kandydatki należy nadsyłać w dalszym ciągu p. a. Redakcji „X Muzy", Al. Jerozolimska 43. Pomiędzy Czytelników „X Muzy", biorących udział w głosowaniu zostaną rozlosowane następujące nagrody:

Zegarek firmy „Agfa"

Dwa aparaty fotograficzne „Baby „Browne" firmy „Kodak".

Pióro wieczne firmy „Żak".

Pióro wieczne marki „My Darling pen".

50 bezpłatnych zabiegów kosmetycznych pod kier. prof. p. C. Sandler.

Wyroby kosmetyczno-perfumeryjne firm:

Academie Scientefique de Beauté, Paris.

„Bakley" w/m.

W. Falkiewicz, Poznań.

„Deva" w/m.

„Galanteria Wiedeńska" w/m.

„Gillot" w/m.

W. Kruszecki w/m.

Pinaud, Paris.

„Parivar" w/m.

„Ravis" w/m.

„Swit" lab. dr. J. Świtalskiej w/m.

Bilety bezpłatne do teatrów i kin warszawskich

oraz

Efektowne portrety najpopularniejszych „gwiazd" amerykańskich i europejskich.

KUPON PLEBISCYTOWY—Seria XII

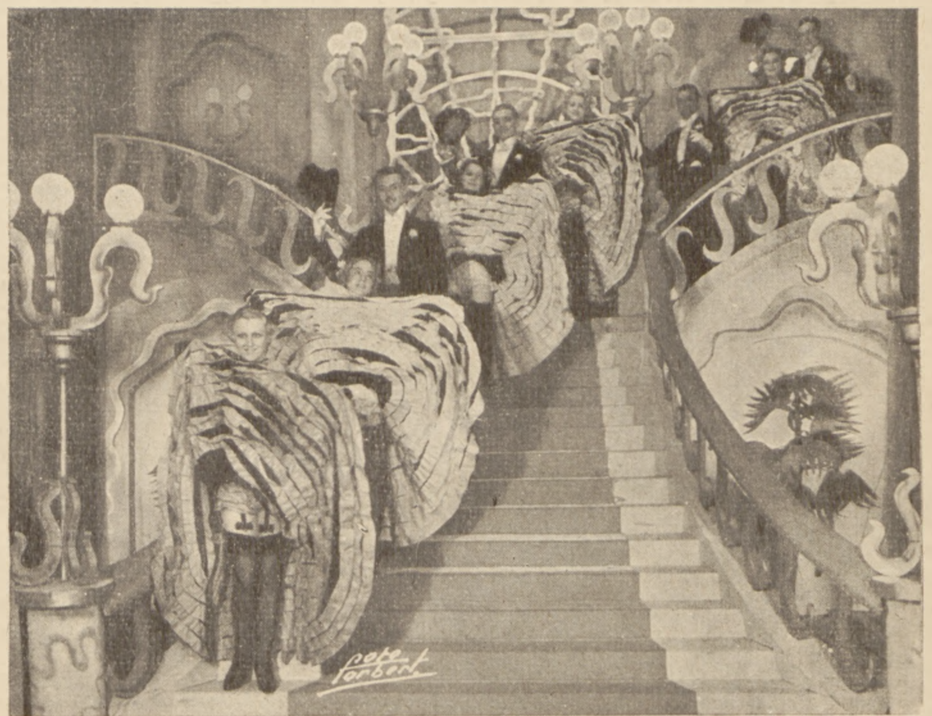
IMIĘ I NAZWISKO GŁOSUJĄCEGO ....

MIEJSCOWOŚĆ ....

ADRES ....

ODDAJĘ GŁOS NA ....

PODPIS ....



Efektowna scena taneczna w „Moulin Rouge" z operetki Gilberta p. t. „Cnotliwa Zuzanna" wystawianej z wielkim powodzeniem na scenie teatru „8.15"



Witold Zacharewicz i Jerzy Pichelski w filmie p. t. „Kościuszko pod Racławicami". Fot. „Libkow-Film"

TEATR

„NOWY"

Przed 29-ciu laty „Skiz" padł w teatrze Rozmaitości. Prasa nazwała go słabizną. Autorka telegraficznie żądała zdjęcia sztuki z afisza, protestując przeciw niewłaściwej obsadzie. Obsada była jednak właściwa, ale Zapolska, osobista antagonistka Natalii Siennickiej, niezadowolona z obsady roli Witusia, niezadowolenie to przeniosła na wszystkich wykonawców.

Po 29-ciu latach okazało się, że „Skiz" jest doskonałą komedią i, że Mieczysława Ćwiklińska nie ma konkurentki, gdy chodzi o finezyjne niuanse dialogowe; wygląda przy tym młodo i pięknie. Różycki dawno nie miał roli tak do siebie dopasowanej, a Wesołowski, jako Wituś, przypomniał się z najlepszej strony po dłuższym „letargu" artystycznym (ciekawe było by dublowanie tej roli przez Hnydzińskiego). Nina Świerczewska wdzięcznie sentymentalna, ładniutka.

„Skiz" gromadzi liczną publiczność spragnioną dobrej gry teatru z prawdziwego zdarzenia.

„ATENEUM"

„Ożenek"

Tuwim i Perzanowska zdemokratyzowali „Ożenek" Gogola. Świetny poeta i świetna reżyserka znają widocznie Rosję tylko z opowiadań (wycieczka Perzanowskiej przed kilku laty do Z. S. R. R. nie dała jej znajomości środowiska, które w interpretacji naszej reżyserki tak się ma do rzeczywistości, jak — „Oczy czornyje" do Gogola).

Sztuka jest przekrzyczana, przewulgaryzowana i przestylizowana gestycznie. W pierwszym rzędzie reżyserka powinna stuszować drażniące jaskrawizny p. Łuszczewskiego. Pewne zmechanizowanie, jakie Perzanowska usiłowała narzucić wykonawcom, zbliżało Gogola do jakiegoś „zmoskwiczonego" Moliera. Ale co najciekawsze: dwoje aktorów sprzeciwiło się reżyserce i poszło własną drogą — to Jaracz i... Perzanowska. Oboje dali żywych ludzi.

OBRADY ZWIĄZKU ZRZESZEŃ TEATRÓW ŚWIETLNYCH

Tegoroczne Walne Zebranie Związku Polskich Zrzeszeń Teatrów Świetlnych zgromadziło w sali posiedzeń Prudential House z poszczególnych województw 85 delegatów.

Zebranie zagaił prezes S. Zagrodziński podkreślając, że od chwili powołania do życia centralnej organizacji własności kinowej upływa 15 lat, poczym złożył sprawozdanie o sytuacji kin w Polsce w roku ubiegłym. Omawiając na podstawie cyfr to zagadnienie sprawozdawca zaznaczył spadek przeciętnych cen biletów we wszystkich kinach w Polsce, omówił przyczyny tego zjawiska w poszczególnych kategoriach miast, szczegółowo zreferował wadliwy system pobierania opłat na P. C. K. i na Fundusz Pracy, przyczym podkreślił zbyt dużą wysokość, tych opłat. W dalszym ciągu p. Zagrodziński zreferował sprawę różnych przepisów o urządzeniach instalacji elektrycznej w kinach oraz zapoznał zebranych z podjętą akcją w sprawie zmiany projektu rozporządzenia o budowie kinematografów (rozporządzenie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dn. 14 sierpnia 1936 r. nie zostało jeszcze wprowadzone we wszystkich miastach i w związku z tym rozporządzeniem związek w roku sprawozdawczym musiał interweniować w 132 miastach, w 13 urzędach wojewódzkich i w 5 wydziałach powiatowych). Dalej p. Zagrodziński zreferował ustalone wytyczne dotyczące zgrywania 100% filmów polskich, starań Związku o zmianę podziału miast na kategorie w zależności od ilości mieszkańców z powodu tworzenia sztucznego przyrostu ludności w miastach, starań o uzyskanie obniżki stopy podatku widowiskowego w całym szeregu miast, jak Lwów, Chorzów, Sosnowiec, Bydgoszcz, Łódź i inn., sprawę stanowiska zajętego przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, w sprawie obliczania zniżki specjalnej podatku widowiskowego od sumy wymierzonego podatku, a nie od stopy podatkowej, wreszcie podał dotychczasowy efekt finansowy, uzyskanej przez związek zniżki specjalnej podatku widowiskowego. Referując sprawę wyświetlania tygodników aktualności PAT-ej, podkreślił dążenia związku do zwiększeniai ilości kopii tygodników, wskutek czego obieg ich tygodników byłby przyśpieszony blisko o 2 miesiące.

W sprawozdaniu Zarządu poruszono również bardzo aktualne zagadnienia w związku z ukazaniem się na rynku polskim filmów wąskotaśmowych.

Oddzielny dział sprawozdania poświęcony był pracom organizacyjnym, a w szczególności na terenie Federacji Międzynarodowej Właścicieli Kin, której wiceprezesem jest p. Pr. Zagrodziński już w drugiej kadencji, oraz na terenie Rady Naczelnej Przemysłu Filmowego w Polsce. Po sprawozdaniu komisji rewizyjnej i przyjęciu budżetu oraz udzieleniu absolutorium ustępującemu zarządowi wyłoniła się obszerna i bardzo rzeczowa dyskusja.

Następnie odbyły się wybory nowych władz związku, na skutek których do zarządu weszli:

Prezes — Stanisław Zagrodziński z Warszawy.

V-prezesi — dr. Adam Herman z Krakowa i dyr. Józef Kitkowski z Bydgoszczy.

Ławnicy — dyr. Jan Łuczak z Poznania, Pr. Henryk Zieliński z Łodzi, dyr. Młodziński ze Lwowa.

Czł. zarządu — prof. Pachoński z Krakowa, Franciszek Kiedroń z Katowic, Bronisław Neugebauer z Łodzi, Maksymilian Witt z Torunia, Radny Kazimierz Jaźwiński z Równego, Jan Galuba z Poznania, Stanisławi Zborowski ze Lwowa, Bronisław Garliński z Sosnowca, Czesław Zwierz z Kutna, E. Baskind z Wilna.

Komisja rewizyjna — p. p. Gralak z Łodzi, Lisowski z Krakowa, Szmidt z Katowic, Jędrychowski z Białegostoku, Maurycy Fisz ze Lwowa.

Obecność na zebraniu najpoważniejszych przedstawicieli własności kinowej, oraz rzeczowa dyskusja świadczą o wielkim wysiłku pracy Związku Zrzeszeń o tym, że jest to najsilniejsza organizacja w naszym przemyśle, której spoistość wspaniały rozwój został oparty nie na przymusach, lecz na rzeczowej obronie interesów kin.

FOTOGENICZNE POWIEŚCI

Wizyta u EUGENIUSZA SZERMENTOWSKIEGO

Sukcesy przetransponowanych na ekran kilku powieści polskich zwróciły uwagę reżyserów w kierunku dalszej współpracy literatury i filmu. Dotychczas te stosunki były więcej niż luźne: powieściopisarze polscy nie interesowali się filmem, film nie interesował się powieściopisarzami. Potrzeby—bardzo, jak dotychczas ograniczone — wypełniała garstka zawodowych, rutynowanych scenarzystów.

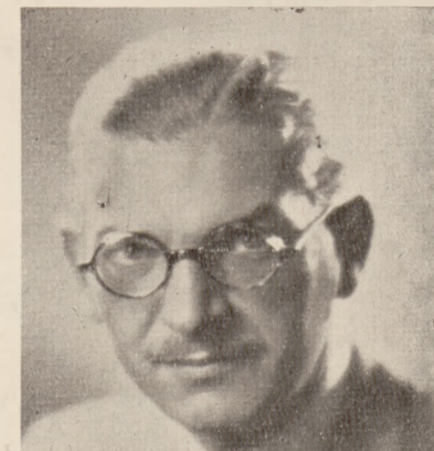
Głód na oryginalne scenariusze daje się odczuwać nietylko u nas, ale i zagranicą. Ceny na porządny scenariusz podskoczyły. Producenci przekonali się, że garstka profesjonalnych scenariopisarzy nie wystarczy dla potrzeb filmu, że trzeba obejrzeć się za nowymi siłami.

Te nowe siły to przede wszystkim poeci, prozatorzy, ludzie pióra, ludzie, którzy pracują wyobraźnią. Czegóż tedy należałoby od nich oczekiwać? Tyle może, żeby, pisząc, nie zapominali, że piszą również na ekran. Jasne, że nie wszystkie ich prace nadadzą się do transpozycji filmowej, ale już samo zainteresowanie naszych pisarzy nową dla nich dziedziną może okazać się z pożytkiem zarówno dla literatury (nowa forma!), jak i dla filmu.

Więc przede wszystkim — pisarze młodzi, ci, których pasjonują tematy współczesne, którzy poruszają zagadnienia interesujące ogół. Przykłady Dołęgi-Mostowicza i Poli Gojawiczyńskiej nie powinny ograniczyć naszych producentów w poszukiwaniu nowych talentów literackich. Czy nie należałoby pomyśleć o zorganizowaniu przy każdej większej placówce przemysłu filmowego odpowiedniego referatu literackiego, poświęconego właśnie wyszukiwaniom nowych, pasjonujących tematów? Ten projekt rzucamy pod rozwagę naszym przemysłowcom filmowym.

Zanim szerzej omówimy ten temat, tak aktualny i ważny, już teraz chcielibyśmy sygnalizować naszym producentom powieść młodego polskiego powieściopisarza, którego książka, jak żadna inna, predestynowana jest do tego, żeby jaknajrychlej znaleźć się na ekranie. Mówimy o „Historii jednej blagi" i o „Karierowiczu" Eugeniusza Szermentowskiego. Obie te powieści stanowią całość nierozdzielną, czyta się je z takim zainteresowaniem, że przerwać lekturę można dopiero na ostatniej kartce. Pismo nasze nie jest pismem literackim, to też nie będziemy tutaj rozważać wartości literackich powieści. O tym wypowiedzieli się już zawodowi krytycy, w sposób zaszczyt przynoszący autorowi. Nas interesuje inna sprawa. Sprawa przeróbki tych powieści na ekran.

W związku też z ta sprawa odwiedziłem Eugeniusza Szermentowskiego.



Młody, energiczny mężczyzna. Spod rogowych okularów spoglądają oczy inteligentne. Biblioteka z kilku tysięcy tomów. Na ścianach gabinetu sztychy angielskie, karykatura rysunku F. Topolskiego, obraz olejny Józefa Szermentowskiego (dziadka autora).

— Czy nie myślał Pan nigdy o przeróbce swoich powieści na ekran? — pytam Szermentowskiego.

— Owszem. Myślałem. I nadal o tym myślę. Fachowcy, m. in. reżyser Gantkowski, zwrócili mi uwagę na ich stronę „filmową". Wiem, że niektórzy reżyserowie interesują się powieściami dla ich przeróbki na ekran. Ale realnych propozycyj dotychczas nie mam. Jedno z amerykańskich biur filmowych, które ma zamiar wyławiać w Polsce nowe siły literackie, oznajmiło mi, że czeka z niecierpliwością na przekład moich powieści, żeby je przesłać do Hollywood.

— To są już przekłady?

— Tak. Niemiecki już jest w robocie. Wyjdzie w jednym z największych wydawnictw niemieckich Korna we Wrocławiu w przekładzie D-ra Johanna Werner-Niemanna. Mają także wyjść przekłady chorwacki i węgierski. Przed kilku dniami zaś otrzymałem bardzo ciekawy list z Uniwersytetu Columbia w Nowym Yorku (Philosophy Hall), w którym profesor polonistyki, Arthur Prudden Coleman, zawiadamia, że polecił moje książki znanemu wydawnictwu Connecticut Library Association w Hartford, które ma się zająć ich przekładem na angielski.

— To bardzo ciekawe! Z tego wynika, że „na upartego" Amerykanie mogą ubiec polskie placówki filmowe!

— Och, nie przesadzajmy — uśmiecha się Szermentowski. — Nie wyobrażam sobie, żeby tak łatwo było polskiemu pisarzowi trafić raptem do wytwórni amerykańskich. W każdym razie zobaczymy, co z tego wyniknie...

— Czy pisze Pan dalej powieści?

— Po paromiesięcznej przerwie, którą pochłonęło pewne specjalne wydawnictwo, które redagowałem, powróciłem do powieści. W zimie, lub na wiosnę wydam gotowy tom essayów p. t. „Ariele i Kalibany"; kończę zaś dwie powieści: „Targowisko snobów" oraz „Garbus". Przerabiam także do wydania książkowego dawną moją powieść, historyczną p. t. „Wielka księżna", której wątkiem jest miłość Poniatowskiego i Fikke...

— Kto to był Fikke?

— Tak nazywano za młodu Katarzynę Wielką — mówi z uśmiechem Eugeniusz Szermentowski.

Na tym skończyłem pogawędkę z sympatycznym autorem. Wspaniały, mysi szkocki terrier z ujadaniem odprowadza nas do przedpokoju, gdzie żegnam się z Szermentowskim.

W. B-T.

CZYŻBY ZMIERZCH FILHARMONII?

Filharmonia w niebezpieczeństwie. Caveant consules.... Niestety nasi „konsulowie" obojętnym okiem spoglądają na los zasłużonej placówki. Muzyka jeszcze nie natrafiła na swoje T. K. K. M. (towarzystwo krzewienia kultury muzycznej)... A szkoda! Gdyby budżet muzyczny pochłaniał choćby tylko część zawrotnych kwot, obracanych na rzecz sławetnego T. K. K. T. mielibyśmy w stolicy reprezentacyjny zespół orkiestrowy na poziomie najlepszych europejskich.

Tak właśnie było przed laty. Dość wspomnieć, jakie to sławy o zasięgu europejskim, a nawet światowym wchodziły w skład dawnej orkiestry Filharmoników warszawskich za czasów Reichmana oraz Młynarskiego (w pierwszym okresie jego dyrekcji). A więc — gwiazda tej klasy, co Paweł Kochański, brat jego Eli Kochański, obecnie profesor klasy wiolonczeli Konserwatorium Warszawskiego, Opieński, muzykolog o szerokim rozgłosie, wydawca listów Szopena, Fitelberg, dyrygent, znany na obu półkulach, Wiłkomirski, obecnie dyrektor Konserwatorium w Gdańsku, Oziminski, popularny propagator strawy muzycznej dla szerszych, a zwłaszcza młodszych sfer, i tyle tyle innych. Plejada ta nazwisk wymownie świadczy, jak potężnym ośrodkiem promieniowania kultury muzycznej była niegdyś Filharmonia Warszawska. Najsłynniejsze zespoły świata wyrywały sobie naszych orkiestrowiczów. Przed kilku zaledwie laty Sergiusz Kusewicki, dyrygent - wirtuoz ściągnął do swego światowej sławy zespołu, stale produkującego się w U. S. A. wieloletniego perkusistę filharmonijnego, Romana Szulca. Inny Szulc został I-szym fagocistą Filharmonii Wiedeńskiej. Wypadków takich naliczyć by można było więcej.

Katastrofalna obecnie sytuacja naszych orkiestrowiczów doprowadziła do exodus'u z Filharmonii najlepszych sił. W poszukiwaniu lepszego dziś, nie tylko jutra, przenieśli się oni do innych zespołów rokujących lepsze możliwości bytowania. Część wyemigrowała zagranicę, stanowiąc trzon utworzonej przez Hubermana orkiestry symfonicznej w Palestynie, część zasiliła surowy jeszcze zespół Polskiego Radia, część zarobkuje nawet w lokalach rozrywkowych (koncertmistrz Dworakowski). Przerzedzone szeregi filharmoników zmuszone są do kontentowania się głodowymi pensjami, wynoszącymi przeciętnie aż... zł. 150 miesięcznie. Uzyskane z wielkim trudem subsydium ministerialne wynosi tylko kilkanaście złotych miesięcznie na głowę. Pobory te starczyć muszą także na konserwację instrumentów i reprezentacyjny wygląd na estradzie podczas koncertu.

Czy wrócą jeszcze świetne czasy kuźnicy tylu muzycznych talentów?

emef.

CODZIENNIE O PIĄTEJ

Swego rodzaju sport
Herbatę łykasz, tort,
Gość każdy — czarny kort
Golony à la lord,
Niewiasty — maison Worth...
Zaciszny plotek port.

*

Zajęty każdy kąt,
O wszystkim słyszysz sąd,
Wyścigi, demi-monde,
Filmowy nowy prąd,
Co postanowi rząd,
Czy ozon czy folksfront?

*

Gdaczących kilka kwok,
Fałszywe zęby, lok.
Powiewny dziewic krok,
Zapachy wonnych mokk,
Tysiące „perskich ok",
Ziemiańska... Five of clock...

Jerzy Gur.

KAPELUSZ A INDYWIDUALNOŚĆ

Skończyły się czasy, kiedy kapelusz spełniał jedynie mało zaszczytną rolę nakrycia głowy. Obecnie każdy mężczyzna starannie dobiera barwę kapelusza do całości stroju i fason do wymogów lansowanej mody. Kapelusz musi również dyskretnie uwypuklać zarówno cechy zewnętrzne danego mężczyzny, jak i świat jego zainteresowań.

Poeta i malarz uważają naprzykład, że jedynie kapelusz pomięty fantastycznie może świadczyć o bogactwie ich duszy. U tych artystów kapelusz odgrywa rolę bardzo poważną, często jest bowiem jedyną oznaką ich talentu.

Rutynowani urzędnicy bankowi sądzą natomiast, że jedynie melonik może być uzupełnieniem godnym ich szanownych osobowości. To też poznajemy ich nieomylnie zarówno w gorący dzień lipcowy, jak i w lutym na Krupówkach. Sztywny kapelusz świadczy o niezłomności ich zasad i dlatego odnosimy się do nich z dużo większym zaufaniem, aniżeli do ludzi, których kapelusze miękkie świadczą o miękkości wewnętrznej. Amazonki dlatego tylko noszą meloniki, abyśmy uwierzyli w ich silny charakter i niezłomną wolę zwycięstwa.

Czasem słyszy się głosy, że całość stroju mężczyzny jest zbyt monotonna i że należałoby wprowadzić pewne ożywiające inowacje. Nie zgadzam się z tym stanowczo. Są wprawdzie panowie, odziani od stóp do głów w bronz, jak niektóre kobiety w lila, są inni, którzy wyglądają jak gdyby jeszcze nie przestali grać w zielone, są bowiem ubrani w ten kolor od skarpetek do kapelusza z nieodzownym piórkiem. Ludzi o tak monotonnej, trawiastej powierzchowności jest naogół mało, zwykle wyrażają oni tym strojem swoją tęsknotę za dźwiękiem rogów myśliwskich i chociaż tym sposobem gaszą niewykonalne marzenia w stylu Tartarino z Tarasconn.

Naogół króluje jednak u nas szeroki polot fantazji w dobieraniu barw, bajecznie kontrastujących nie tylko z całością stroju ale i porą dnia, a nawet roku. To też widuje się u nas w dzień kapelusze, które zwykłyby być ozdobą szatni nocnego lokalu w Londynie — natomiast te kapelusze, w których nasi panowie zajeżdżają do „Adrii" doskonale czułyby się w garderobie klubu golfowego. No i jak tu mówić o braku ożywienia? Coś tu nie jest jednak w porządku — najpewniej „Adria" — która nie chce przystosować się do wyglądu swojej szatni i zamienić swoje salony na midget-golf. Jest tylko jedna obawa, że nasi panowie przychodziliby na golfa w czarnych kapeluszach a la lord Eden — tak, że „Adria" musiałaby w jakimś czasie zamienić się na to, czem jest obecnie.

A propos lorda Edena: warto zaznaczyć, że wprawdzie często podziwiamy na zdjęciach wytworną postać angielskiego ministra, ale dotychczas jakoś nie widzieliśmy jego czarnego kapelusza, uzupełniającego płaszcz nieprzemakalny marki Burberry. Zapytujemy przeto naszych rodzimych, tak właśnie ubranych elegantów, kto był dla nich wzorem tej pięknej mody, chcielibyśmy bowiem zdobyć wywiad u tak perwersyjnie wytwornego dżentelmena.

Jak wspomniałem na początku mężczyźni starają się odpowiednio dobranym kapeluszem podkreślić swe naturalne cehy zewnętrzne. Tak więc ludzie o bardzo dużych głowach i szerokich twarzach noszą kapelusze o dość małych rondach, które doskonale podkreślają hojność natury. Natomiast ludzie o wzrostach bardzo skromnych i szczupłych, pociągłych twarzyczkach umiejętnie podkreślają te miłe zalety swojej powierzchowności, przez noszenie kapeluszy o wysokich głowach i rondach à la cowboyski Stetson.



Barbara Stanvyck po nagraniu filmu „Wzgardzona" dla wytw. „National Film Corporation" — udała się na zasłużony urlop do Kanady — skąd przesyła pozdrowienia Czytelnikom „X-ej Muzy".

Niezależnie od swego koloru i fasonu — każdy kapelusz spełnia bardzo ważną funkcję: indywidualizuje podejście swego właściciela do codziennych spraw życiowych. W tym charakterze ma on zarówno wrogów, jak i przyjaciół. Do tych pierwszych należą najczęściej mężczyźni — mogący się pochwalić pięknymi włosami — wszyscy inni są natomiast bardzo gorącymi zwolennikami kapelusza. Do wrogów kapelusza należy również publiczność kinowa, która często głośno domaga się zdjęcia go z głowy. Jest to oczywiście nietakt, publiczność bowiem powinna uczcić milczeniem indywidualność jednostki, noszącej kapelusz tam, gdzie wszyscy inni siedzą z odkrytymi głowami; tłumaczenie się publiczności, że kapelusz zasłania, także nie jest wystarczające, widzowie bowiem, siedzący za panem w kapeluszu mogą wychylać się na prawo lub lewo w kierunku przeciwnym do ruchów pana w kapeluszu — a ekran będzie wówczas napewno widoczny. Jeśli przypadkowo będzie na widowni kilka indywidualności — pozostałe osoby mogą sobie stworzyć bardzo godziwą dodatkową rozrywkę przez miarowe kołysanie się raz w lewo, raz w prawo na wzór łanów pszenicy podczas wiatru.

Moda rodzi się w Anglii. Ale mieszkańcy Albionu są niesłychanie, powiedziałbym ustandaryzowani. To też nic dziwnego, że chorują na „spleen"; ciekawe jest raczej, że dotychczas państwo to istnieje, a obywatele jego nie powystrzelali się z nudów. Jeśli się tam dwóch panów potrąci w publicznym miejscu — obaj automatycznie przyklejają do warg uśmiechy, automatycznie uchylają kapeluszy i jednocześnie wypowiadają formułkę przeprosin. Nudne, Boże, jakie nudne! U nas w identycznej sytuacji nigdy nie wiadomo, co może wyniknąć, bo my jesteśmy narodem dumnym i nie łatwo obnażamy głowy. To też u nas w podobnej sytuacji, najczęściej jeden z panów stara się wymóc na drugim przeproszenie przez zmuszenie go do zdjęcia kapelusza. Jest to zabawa tak nieraz ciekawa, że, aby przekazać ją potomności — notuje się skrzętnie jej przebieg — aby, po jakimś cza-

ciąg dalszy na str. 8-ej.

ZE ŚWIATA KOSMETYKI

Przed kilkoma dniami nastąpiło w Warszawie otwarcie nowego lokalu firmy „Dewa".

Kierowniczką laboratorium eksperymentalnego **„Dewa"** jest dr. Janina Iwanowska, która dba o to, aby każdy sprowadzony surowiec był przed zastosowaniem poddany analizie, aby produkty, nie niszczyły i nie drażniły skóry. Dr. Iwanowska uważa słusznie, że w produkcji kosmetyków, a specjalnie w dziale preparatów przeznaczonych do indywidualnej pielęgnacji cery, należy brać pod uwagę współpracę czterech dziedzin: chemii, medycyny, perfumerii i artyzmu wykonania. Obecnie firma „Dewa" prowadzi szereg działów produkujących środki do oczyszczania skóry i pielęgnacji cery. Nowy dział stanowią szminki teatralne i filmowe, dotychczas przez polskie wytwórnie nie wyrabiane.

Przy laboratorium mieści się salon kosmetyczny, prowadzony pod kierownictwem p. Marii Sułowskiej. Salon urządzony jest z dużym smakiem i wyposażony w nowoczesne aparaty (specjalnie sprowadzone z Wiednia), doskonale zaprojektowane kabiny z wygodnymi fotelami. We wszystkim widać tam troskę o wygodę klientek.

W gabinecie dr. Iwanowskiego stoją na biurku fotografie znanych artystek filmowych, które są klientkami salonu i które były obecne na bankiecie wydanym z okazji poświęcenia nowego lokalu.

D. A.



W bankiecie urządzonym z okazji otwarcia nowego lokalu f-my „Dewa" wzięli udział popularni artyści scen polskich.

ciąg dalszy ze str, 7-ej.

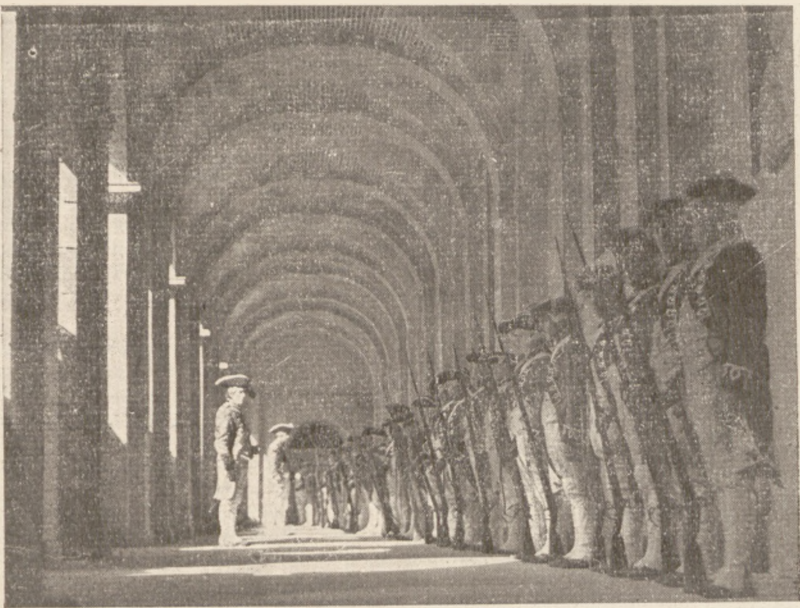
sie zrobić nawet małe powtórzenie przed panem w todze przy łaskawym współudziale ludzi, będących świadkami ad hoc zaimprowizowanej premiery.

Jakże nudne życie mają również Angielki. Każda oczywiście już z góry wie, że jeśli się znajdzie np. w windzie, z jakimś nieznajomym mężczyzną — ten automatycznie zdejmuje kapelusz. Nudne — zawsze to samo. Ile emocji mają w podobnych wypadkach warszawianki... Nasza pani nigdy nie wie nawet, czy mężczyzna witając się z nią — uchyli kapelusza, względnie, czy kłaniając się jej zdala — raczy wyjąć drugą rękę z kieszeni. To są przecież wprawdzie „drobnostki" — ale z drobnostek składa się całość i dlatego jest u nas tak niezwykle ciekawie.

Ludzie „made in England" witają się krótkim „hallo", a nie pięknym zwrotem — „moje uszanowanie panu", i — o dziwo — nie zdejmują przy tym kapelusza. Tylo, że ich „hallo" jest jednakie dla wszystkich, nie zależnie od szacunku, jaki żywią dla witanej osoby; my natomiast już samym ukłonem wyrażamy, czy dana osoba jest nam miła, czy tylko znośna, czy też wręcz nieprzyjemna. Rodzaj naszego ukłonu jest zależny od osoby, dla której jest przeznaczony. Piękne, indywidualne! To też ludzie, którzy bardziej muszą szanować bliźnich, kłaniają się niżej — przyczym dla zachowania pewnej równowagi, zazwyczaj tak już jest, że jeśli jeden kapelusz w ukłonie skłania się nisko, drugi zaledwie się unosi.

Czyż więc kapelusz wybitnie nie indywidualizuje?!

Glaudan.



Scena z filmu „Marsylianka"
Fot. „Keston-Film"

CI CO ODESZLI...

ś. p. HENRYK DRZEWIECKI

Rzadko kto z wybitnych śpiewaków tak szybko, dobrowolnie, w pełni sił, może nawet w rozkwicie kariery zszedł ze sceny jak zmarły niedawno w Warszawie, rejent ś. p. Henryk Drzewiecki. W latach 1904—1910 liryczny ten tenor był ulubieńcem Warszawy. Jego olbrzymi repertuar — Jontek, Stefan („Straszny Dwór"), „Werther", „Tosca", „Cyganeria", „Lohengrin", „Śpiewacy norymberscy", „Traviatta", „Rigoletto", „Oniegin", „Romeo i Julia", „Faust", „Carmen", „Opowieści Hoffmana", „Manon", „Rycerskość wieśniacza", „Pajace"... — był wzorem dobrego smaku, szczerej uczuciowości, kultury muzycznej i aktorskiej. On również kreował Pincertona obok Gemmy Bellincioni na premierze „Butterfly". Gdy nieoczekiwanie zszedł ze sceny, przyszli na jego miejsce tenorzy włoscy i cały repertuar tenora lirycznego, aż do przyjazdu Dobosza nie był już śpiewany w języku polskim.

Jako prawnik, po rzuceniu sceny, urządził sobie życie dostatnie i spokojne. Ale tesknił... Gdy młodziutka podówczas Aleksandrowiczówna śpiewała gościnnie Julię, zgodził się wystąpić raz jeden, jako Romeo, pod pseudonimem Henryka Martensa. W pierwszym roku wojny, gdy włosi wyjechali, dał się skłonić do oficjalnego powrotu na scenę. Choć młody jeszcze miał wtedy zaledwie czterdzieści parę lat odszedł jednak przez te kilka lat od mściwej i zawistnej sztuki — nie czarował jak dawniej, świeżością dźwięku, a poza tym miał rywala, w pozyskanym ze Lwowa, młodziutkim, pięknogłosym Doboszu... W 1917-ym roku porzucił scenę już na zawsze.

W dziejach Opery polskiej ś. p. Henryk Drzewiecki ma swoją piękną kartę zasługi i talentu.

B-moll.

* * *

Świat artystyczny Ameryki przygotowuje się do obchodu jubileuszu 25-lecia Eddie Cantora. Na słupach wszystkich większych miast rozwieszono plakaty zapowiadające tą uroczystość.

Martha Raye wschodząca gwiazda „Paramountu", zdążyła w czasie jednego „długiego" miesiąca wyjść zamąż i... rozwieść się. Nie spodobało się to wytwórni, dyrekcja której uczyniła aktorce uwagę, aby na przyszłość prowadziła się... przyzwoiciej.

Z POLSKIEGO ŚWIATA FILMOWEGO

„UŁAN KSIĘCIA JÓZEFA" — NOWY WIELKI FILM POLSKI

w ostatnim stadium realizacji

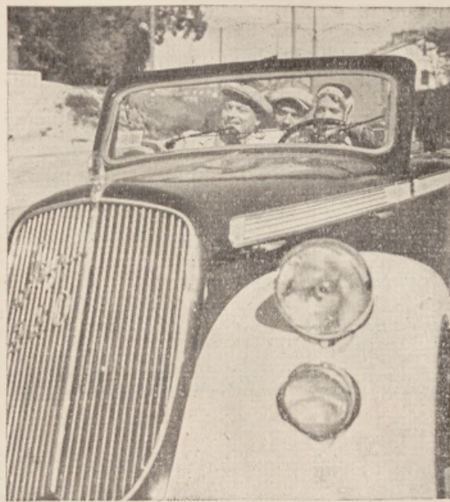
„Ułan księcia Józefa", nowy film „Warszawskiego Towarzystwa Filmowego" wszedł w ostatnie stadium realizacji. Po ukończeniu zdjęć plenerowych, które odbywały się w specjalnie wybudowanym miasteczku pod Warszawą, w pełnym toku znajdują się zdjęcia atelierowe w wielkich halach „Falangi" na Szopena, przy których pracuje cały sztab aktorów, realizatorów i doradców-fachowców.

Reżyseruje Konrad Tom. Kierownictwo ogólne — Stanisław Szebego; kier. lit.-hist. — Wacław Gąsiorowski; kierownictwo artystyczne — Stanisław Urbanowicz; kamera — inż. Zbigniew Gniazdowski i Albert Wywerka; Muzyka — Zygmunt Wiehler; Ilustracja muz. — Iwo Wesby; teksty piosenek — Jurandot; kierownictwo zdjęć — Aleksander Suchcicki; doradca wojskowy—rotmistrz Stanisław Gepner, kustosz Muzeum Wojska.

Kostiumy do filmu projektowane są według wzorów Muzeum Narodowego.

W rolach głównych występują: Jadwiga Smosarska (jako urocza Kasia-oberżystka), Franciszek Brodniewicz (jako książę Józef Poniatowski), Witold Conti (jako porucznik Zadora), Stanisław Sielański (jako ordynans), Józef Orwid (jako stary wiarus), Seweryna Broniszówna (jako stara markietanka), oraz Grolicki, Bonecki, Kwiatkowski, Rychter, Olgierd, Halicz, Zawadzka, Łaska, Liedtke, Zdanowicz, Dobosz, Bielicz, Winkler, Gella i w. inn. Poza tym w filmie bierze udział 36 p. p. „Legia Akademicka" oraz „Wyższa Szkoła Wojenna".

Staranna realizacja, nazwiska twórców obrazu, doskonała obsada i temat— świeży, oryginalny w pomyśle, dający duże pole do popisu dla talentów aktorskich i realizatorskich; bogaty w efektowne momenty scenariusz, żywa, płynna filmowo akcja, kapitalne momenty komediowe splatające się z fabułą dramatyczną — wszystko to pozwala przypuszczać, że „Ułan księcia Józefa" będzie jeszcze jednym sukcesem młodej, sprężyście prowadzonej placówki produkcyjnej — „Warszawskiego Towarzystwa Filmowego". Premiera warszawska „Ułana" odbędzie się w kinie „Capitol" na Boże Narodzenie.



Wiszniewska, Kurnakowicz i Milecki w scenie z filmu „Dziewczyna szuka miłości"
fot. „Panta-film"

DWA NOWE FILMY WYTWÓRNI „FEMIKA-FILM"

Po ukończeniu filmu „Trójka hultajska", wytwórnia „Femika-film" przystępuje do realizacji dalszych dwóch filmów.

Pierwszy to „Kobieta bez skazy", wg. powieści Gabrieli Zapolskiej. Bohaterów powieści wielkiej autorki odtworzą artyści tej miary, co Maria Malicka, Franciszek Brodniewicz, Mieczysława Ćwiklińska, Nina Świerczewska, Tamara Wiszniewska, Kazimierz Junosza-Stępowski, Antoni Fertner, Stanisław Woliński, Włodzimierz Łoziński, Leon Łuszczewski i inni. Produkcja „Kobiety bez skazy" jest już rozpoczęta — film ukaże się na ekranie w początkach przyszłego roku.

Drugim z kolei filmem będzie „Przekleństwo wieków" — potężny dramat, wg. powieści Mieczysławy Łuczyńskiej.

K.

POWIEŚĆ KAMILA NORDENA BĘDZIE SFILMOWANA

Powodzenie, jakim się cieszą filmy „Znachor" i „Dziewczęta z Nowolipek", zrealizowane według powieści Tadeusza Dołęgi-Mostowicza i Poli Gojawiczyńskiej, zachęciło naszych producentów do dalszego filmowania spopularyzowanych powieści.

Przed kilku dniami sfinalizowana została umowa z wytwórnią „Nasfeter", która nabyła prawa do powieści Kamila Nordena p. t. „Ojciec chce odejść". Zawarcie tej umowy należy uważać za bardzo szczęśliwe, przyjmując pod uwagę olbrzymią popularność wspomnianego utworu i jej doskonałe odmalowanie atmosfery środowiska, w jakim rozgrywa się akcja, świetnie skonstruowane postacie, jej żywość i wartkość, wreszcie — pełne dynamiki dlialogi.

WIADOMOŚCI BRANŻOWE

Dowiadujemy się, że uchwałą Prezydjum Rady Naczelnej z ramienia tejże do Komisji Mieszanej Prawa Autorskiego Międzynarodowej Izby Filmowej został delegowany Prezes Związku Zrzeszeń Teatrów Świetlnych p. Stanisław Romuald Zagrodziński. Zebranie tej Komisji odbędzie się 24 b. m. prawdopodobnie w Bernie.

Etatyzacja przemysłu filmowego

Według pogłosek obiegających sfery fimowe, wytwórnia filmowa „Falanga" (atelier i laboratorium) ma zostać przejęta częściowo przez Polską Agencję Telegraficzną, która ma nabyć 55% udziałów tego przedsiębiorstwa.

Ze Związku Przemysłowców Filmowych

Dn. 4 b. m. odbyło się Nadzwyczajne Walne Zebranie Polskiego Związku Przemysłowców Filmowych, celem omówienia kwestii jednorazowego urzędowania dla pracowników w biurach wynajmu.

Uchwalono, że poszczegIne biura rozstrzygną tę sprawę indywidualnie — każde na własnym terenie.

Kwalifikacja filmów na zeroekrany

W okresie od dnia 1 stycznia 1937 r. komisja kwalifikacyjna Związku Producentów Filmów Krótkometrażowych zakwalifikowała do wyświetlania na zeroekranach warszawskich następujące filmy:

„Na wsi", „Rybołówstwo", „W świecie kwiatów", „Przygotowania olimpijskie", „39,80", "Banalna historia", „Gore", „Sen o balu", „Czarno-biały melodramat", „Lato leśnych dziewcząt", „Hajnówka", „Społem", „Poranek", „Do zwycięstwa", „Podchorążowie", „Trzy etiudy filmowe", „Sól", „Sobótki", „Ku światłu", „ZOO w Warszawie".

Sprawdzianem należytego działania komisji kwalifikacyjnej ZPFK jest fakt przyznania filmowi „Trzy etiudy filmowe" najwyższej punktacji z pośród tegorocznych filmów, co zostało potwierdzone zaszczytnym wyróżnieniem tego filmu na Międzynarodowej Wystawie Filmowej w Wenecji.

*

Wobec pojawiających się artykułów w prasie codziennej na temat rzekomego monopolu krótkometrażowego—zarząd Związku zawiadamia Producentów Filmów Krótkometrażowych, iż powyższe wiadomości są całkowicie nieprawdziwe, Dotychczas nie było wypadku, by producent filmu krótkometrażowego nie był przyjęty do związku i miał jakiekolwiek trudności w eksploatacji swego filmu.

Zarząd Związku zawiadamia, że każdy producent filmów krótkometrażowych może zgłosić się do związku jako członek, a filmy jego korzystają z tych samych praw, z jakich korzystają członkowie dotychczasowi.

*

Związek Teatrów Świetlnych Województwa Lwowskiego i Stanisławowskiego przeniósł swe biuro we Lwowie na ul. 3-go maja 11.

SUKCES HELENY LIPOWSKIEJ W RADIO SZWAJCARSKIM.

Primadonna Opery Warszawskiej Helena Lipowska śpiewała z wielkim sukcesem w radio w Zurichu. Lipowska wystąpi tam również na scenie opery w roli bohaterki w „Halce" i Małgorzaty w „Fauście".

REWIA MODY DZIECIĘCEJ

Odbędzie się w niedzielę, dn. 14 listopada 1937 r. o godz. 12 w poł. w dolnych salonach Cafe „Adria" przy udziale 60 dzieci. Rewia ilustruje życie dziecka w domu, w szkole, na spacerze i podczas zabawy. Program przewiduje m. i. konkurs tańca, wyróżnienie najmilszej dziewczynki i najsympatyczniejszego chłopca oraz szereg niespodzianek i atrakcji.

KRYZYS KINOTEATRALNY

Wpośród wszelkich kryzysów
Epoki teatralnej
Jeszcze jeden nam przybył:
Kinoteatralny...
Uchwaliły więc kina
W ogromnej większości,
By przy wejściu
Prezenty dawać publiczności.
By powstrzymać frekwencji
Zupełny upadek
Widz otrzyma przy wejściu
Pudło czekoladek....
A gdy plany te mądre
Już wejdą wraz w życie
Stanie kino ponownie
Na powodzeń szczycie!

J. G.

REDAKTOR przyjmuje interesantów codz. 17 — 19. Administracja czynna codziennie 10—14 i 16—19
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Jerozolimskie 43 (parter) tel. 810-81.
CENY OGŁOSZEŃ: 1 milim. szerokości jednej szpalty (układ 5-cio szpaltowy) w tekście 40 gr., za tekstem 30 gr. Ogłoszenia drobne 15 gr. za wyraz. dwukolor. 50% drożej.
Prenumerata: rocznie zł. 7.20, 1/2 rocznie 3.60, kwart. 1.80
Prenumeratę przyjmują wszystkie oddziały P.K.O. Konto czekowe Nr. 11.840 i oddziały pocztowe Konto rozrachunkowe, Warszawa I. Nr. 226.
Redaktor naczelny WIESŁAW BOŃCZA-TOMASZEWSKI — Wydawcy JÓZEF KISELHOF i ZENON BERMAN — Kierownik wydawnictwa: EMMI GOLDFLUS
Druk. Wydawnicza, Warszawa, Kacza 15, tel. 603-46.